



HOTELOWA CEGŁA

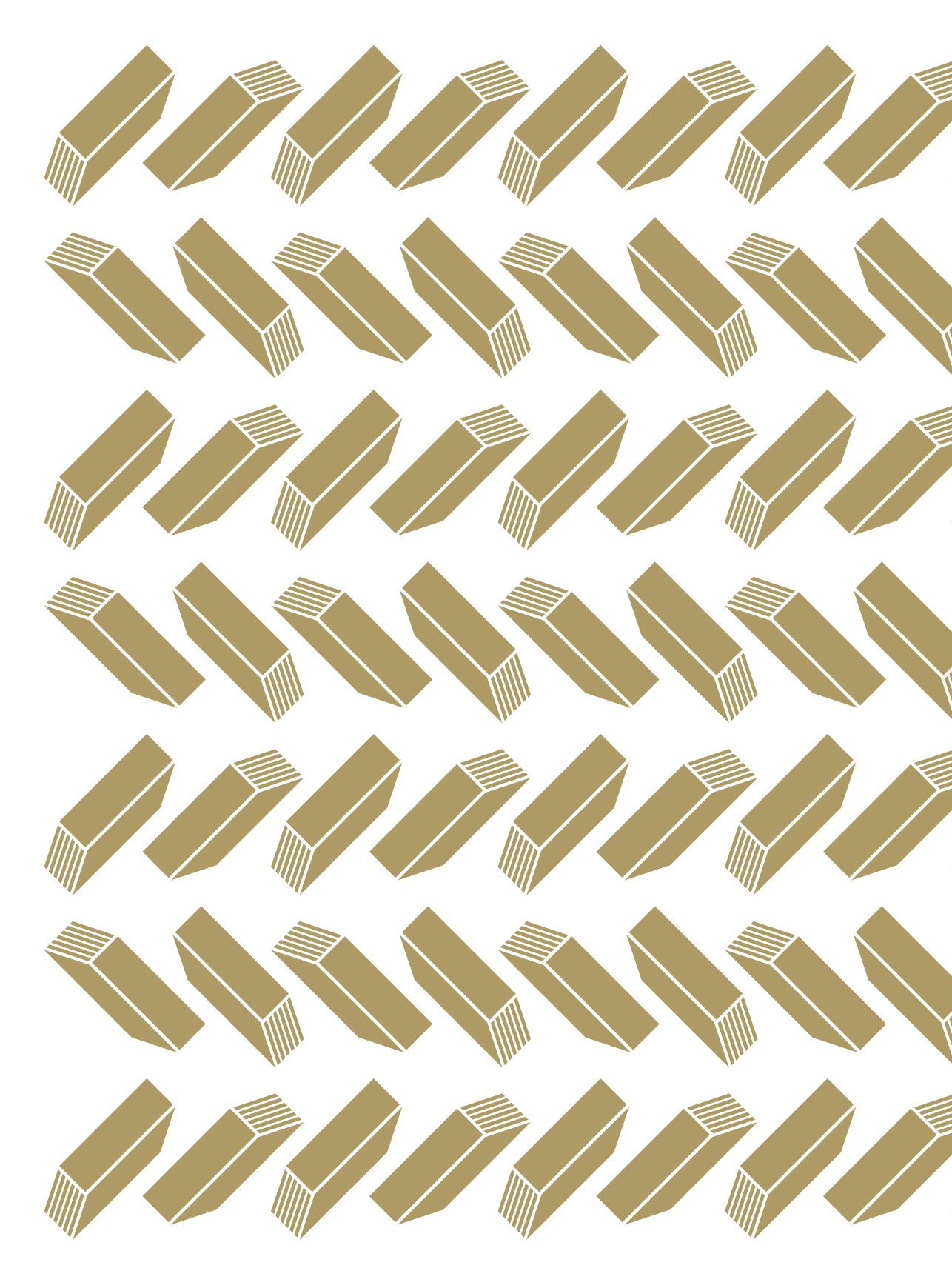


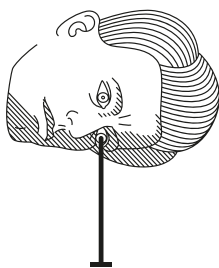
Skarg i Wniosków



Nr 35 / 2016

by Bruno Leś Lewin





Nr 35 / 2016

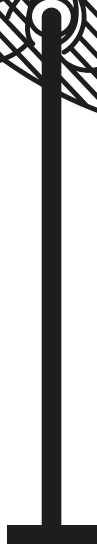
by Bruno Leib Lewin



HOTELOWA **CEGŁA**

Skarg i Wniosków







SKARGA – WNIOSEK Nr 1

Imię Nazwisko Tomasz Bak

tytuł skargi lub wniosku

ASTROLOGOWIE OGŁASZAJĄ KONIEC MIESIĄCA OSTATECZNEGO WYGASZENIA CYWILIZACJI BIAŁEGO CZŁOWIEKA

===/=; ===/=; ===/=;

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.

Właściwie na tym powinienem zakończyć.

Zapytajcie przyszłych historyków,

nikogo nie obchodzi to, że do incydentu doszło

w piątek rano, że motorniczy naprawiał skład,

który postanowił ruszyć bez niego. Powtórzę:

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.

Skład przejechał przez ścisłe centrum Łodzi.

Niekontrolowany przejazd tramwaju był kontrolowany

przez pracowników MPK, którzy nawoływali przez megafon

do odsunięcia się od torowiska. ===/=

Adresat nawoływań pozostaje anonimowy. Tak,

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.

Zapytajcie przyszłych historyków,

nie powiedzą nic o adresacie nawoływań,

nie nakreślą poprawnie trasy przejazdu,

nie wskażą marki i modelu składu,

bo nie będą wiedzieć o tym, że

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.

Przyszli historycy będą mieli wiele pracy

ściśle związanej z tym dniem. Z ostatnim piątkiem czerwca,

dnem, w którym eurokołchoz płakał nad sojowym mlekiem

rozlanym gdzieś w Great Yarmouth czy Thurrock. ===/=

Łzy i lewacy świata tworzą nagłówki klikalniejsze niż to, że

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.



SKARGA – WNIOSEK Nr 2

Choć pewnie dałoby się to połączyć
bez strat w logice i ludziach, może nawet w wierszu
o suwerenności narodów i post-politycznym populizmie,
przyczynach, skutkach, przeszłości i przyszłości,
choć ja jednak wolałbym napisać o tym, że

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.

Chcę przez to powiedzieć, że opowiadając się przeciw
strukturom hierarchicznym nie powinno się dzielić
spraw na ważne i ważniejsze, choć klikalność to x-factor
być może bardziej istotny niż względny pokój na kontynencie,
Brexit, Grexit i wypierPol, ostatecznie to, że

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.

Chcę przez to powiedzieć, że wszystko może być możliwe,
być może Brytyjczycy porzucili niewydolną Unię Europejską
na rzecz sprawnej i perspektywicznej Grupy Wyszehradzkiej,
uczą się urzędowych: czeskiego, polskiego, słowackiego i węgierskiego
a rovery i jaguary oblekają w husarskie skrzydła i instalacje LPG, skoro

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.

Krzyczę przez to: DREAM BIG, SKY IS NO LIMIT, NIESKOŃCZONY!
WZROST W SKOŃCZONYM SYSTEMIE!!! Być może
Program Apollo to nie hoax, odcisk stopy na Księżycu
to nie fake, Łódź pochwali się jednocyfrową stopą bezrobocia
a Zabrze uzyska upragniony dostęp do morza, bo

polski tramwaj wykoleił się na Placu Niepodległości.

Być może istnieje życie na Marsie, suwerenne i niepodległe,
odporne na zakusy kornika drukarza,
dumne jak rakieta Bigos spadająca na Mrzezino.

Być może będę mógł przekonać się o tym możliwie szybko,
oby miejsce czerwonych było na Czerwonej Planecie
a nie na polskich brzozech, olchach i świerkach.



SKARGA – WNIOSEK Nr 3

Kończy się czerwiec. Jestem spragniony i czerwony jak Mars.
Zapasy butelkowanej wody i kremów z filtrem
wykupili negacjoniści zmian klimatycznych.

Tak, być może życie na Marsie, być może gwiazdy i być może
peeling wszechświata, odbijający się od tafli oceanu,
w którym drobinek plastiku jest więcej niż ekosystemów.

Jestem tramwajem, torowiskiem, megafonem i piątkiem,

(CHCIAŁBYŚ!)

Placem Niepodległości, Polską, Grupą Wyszehradzką i Marsem.

(WOLAŁBYŚ NIE!) ==/=

Nie ma motorniczego, wszystko inne uparcie może być możliwe.



SKARGA – WNIOSEK Nr 4

Imię Nazwisko Tomasz Bak

tytuł skargi lub wniosku KRÓTKI WIERSZ O ŁODZI I/LUB O ŻYCIU

małe zwycięstwa
- raczej porażki -
WIELKIE NIEPOROZUMIENIE

tytuł skargi lub wniosku PĘTA MIAST PRZY TYM TO PIKUŚ

Wyobraź sobie, że jesteś
socjaldemokratycznym aparatem fotograficznym
wyniesionym na orbitę okołozemską
przez liberalnych ekstremistów.

Gdy tylko rozrzedzą się chmury,
spróbujesz objąć obiektywem kraj, w którym
60% obywateli deklaruje gotowość do wojny.
I choć steruje tobą pacyfistyczny software,
zaczynasz żałować, że nie jesteś HAARP.

I wiesz doskonale, że szkoda pikseli i szkoda
kilobitów, lecz mimo to zaciskasz zęby migawki
— tony elektrośmiecia dybią na twoje miejsce —
choć najchętniej byś to wszystko
wykadrował.



SKARGA – WNIOSEK Nr 5

Imię Nazwisko Tomasz Bak

tytuł skargi lub wniosku

CO NAM ZOSTAŁO (OSIEMNAŚCIE PREZERWATYW)

I

Nigdy nie byłem pierwszy.

II

Wymuszenie.

III

Słowo – fakt, słowo – fabryka faktów.

IV

Czasem największym aktem przemocy jest bezczynność.

V

Brak odpowiedzi ma charakter represyjny.

VI

Aplikacja 'Ex.exe' dostępna jest wyłącznie w trybie awaryjnym.

VII

Ostateczne zwycięstwo software'u nad hardware'em.

VIII

Przestańmy obwiniać się za to, co było.

IX

Zacznijmy obwiniać się za to, co jest.

X

Bo myślę o tobie i myśl ta jest nie do zniesienia.

XI

Najbardziej żałuję, że nie masz domofonu.

XII

Gdybyś miała domofon, mógłbym się podać za dostawcę pizzy.



SKARGA – WNIOSEK Nr 6

XIII

Wszyscy kochamy dostawców pizzy.

XIV

Jak łatwo epatować tym, co nie istnieje.

XV

Na przykład podmiotem lirycznym.

XVI

Który stoi na klifie, rozmawia przez komórkę, jakoś zleci, mówi.

XVII

Droga, którą obrał, jest drogą pożarową.

XVIII

Gołębie wydają odgłos zbliżony do wibrującego telefonu.



SKARGA – WNIOSEK Nr 7

Imię Nazwisko Ewa Jarońska

tytuł skargi lub wniosku

POCZUŁAM COŚ WRESZCIE

i ucieszyłam się, że mogę napisać wiersz. /o okropieństwach wojen, /jakby tylko one mnie wzruszały. /spojrzałam w niebo wybrakowane bombowcami. /zobaczyłam białe chorągwie chmur, /chustki kobiet i mężczyzn, którymi w niebieskich okopach baranki machają w geście poddania się. /nie poczułam słodkiego zapachu spalenizny, /zgnilizny, /potu lejącego się po karkach pilotom bombowców. /poczułam, /że muszę być z tym wszystkim urodziwa, /ale ślepa jak pożoga i ludobójstwo, /jakby piękno mieściło w sobie także zło. /może nawet radość, /którą ostatecznie czuje na skroni ktoś pozbawiony.



SKARGA – WNIOSEK Nr 8

Imię Nazwisko Ewa Olejarsz

tytuł skargi lub wniosku ŻĘ

w trudnych i złych czasach asza miała dwie małpy
jedna od drugiej niczym się nie różniła
były wierne na swój sposób i bardzo chciwe
każdej należało dać jedną łapę
rozmnożenie łap nie było trudne
w maya są grochy kapusty
w grochy kapusty wplata się małą rybę
rybie wykuwa się jedno oko
oko zawija się w liść koki
kokon zakopuje asza
zakopuje i zakopuje
szkielet oka widzi i odlicza

ten nie
ten nie
ten nie
ten nie



SKARGA – WNIOSEK Nr 9

Imię Nazwisko Ewa Olejarsz

tytuł skargi lub wniosku ZABIJAĆ TRZEBA SKAKANKĄ

nie liczę peronów.
wakacje na mazurach?
padało.
tak, może, tak.
klucz wrzucić do skrzynki.
ten trzeci jest od śmietnika.

tytuł skargi lub wniosku PSIA BUDA

czuwając nad jangcy
spięściłam brata
płytko otwiera usta
w puchowym śpiworze
gryzie sen
skaczę
na wyimaginowanej ścianie
ljam pokazuje mi szczelinę
zaklinam palce
we wnętrzu czuję
śnieg
czarne namioty z wełny jaków czekają
w obozie



Imię Nazwisko Ewa Olejarsz

tytuł skargi lub wniosku

CZAPEŁ ZMARŁ W SOBOTĘ

Planuję przyszłość. Nie jestem wielkim podróżnikiem. Powód jest chyba jeden, nie znam języków. Ale łyam. Pierwszą pracę dostałem we Francji. Pół roku w Paryżu, nuda. Normandia w miarę. Mniej cywilizacji. Pojechałem tam totalnie polski. Bez słownika. Nic, zero. A musiałem ogarnąć noclegi, umówić spotkania, się. No to dałem radę. Poszedłem na łatwiznę, czyli trasą barów. To był moment. Ciul-ciul i bagietka moja. Przetrwałem tam rok. Ale bez przyjaźni. Potem wysłali mnie dalej. Do Moskwy. To był najlepszy czas. Zero alkomatów. Wszędzie taksówkami. Jak wracałem nach hotel — od razu Zdrowie! Super ludzie. Jak w domu. Bez wylewności zbytniej, bez zbędnego narzekania. Mówili, że kraj jest dobry, ludzie dobrzy, tylko rząd do dupy. Jak w domu. Jak w domu. To znaczy zawsze tak sobie wyobrażałem dom. Pochowałem matkę, gdy miałem jedenaście lat. Ojca nie zdążyłem reanimować. Wątpię, żeby ktoś mnie kojarzył w pedałówie. Na macie siedziałem hen na końcu, czyli tam gdzie Czapel. Robiłem mu zadania. Ale tego też nikt nie wie. Poza Czapelem. Już go nie widuję, ale wiem, że jest po odwyku, po pasach, i że ma raka. Tylko z Bochenem trzymałem sztamę. Ale i z nim cztery lata się już nie widziałem. Wciąż jestem na trasie. Pracuję, nituję, robię co do mnie należy. Wchodzę do hali — jest pusta. Wychodzę — jest konstrukcja. Wszystko stoi i się trzyma jak należy. Mogę jechać dalej. Ale teraz trochę się zatrzymałem, nie wiem, może to starość. Wracam z Augsburga. Trzydzieści sześć godzin bez snu. Daję radę. Bywało gorzej. Wbijam do Wiejskiej na piwo. Moja dzielnica. Mój teren. Ten sam barman ze szklanym okiem. Ta sama kamienica bez tynku, te same schody, blat, bar. Tylko ludzie gdzieś poznikali. Ale Bochen jest. Przyszedł dla mnie. Jak zwykle. Dziś nie musiał mnie nieść. Ani ja jego. Mówimy półgębkiem, ale wszystko jest jasne. Jak wtedy. Widzę, że w KWK Sośnicy wciąż kopią, bo oczy ma czarne kreską. Dzieci do niego wróciły. I syn i córka. Szlają się po sądach o alimenty. Ja nie. Ja nie mam za bardzo wstępu do przeszłości. Mały ma cztery lata. Kupuję mu na tych wożach wsjo co go raduje. Wszystkie te mega potwory. Mam nadzieję, że moja zacznie w końcu o niego dbać. Mówi, że syn mnie nie poznaje. To nieprawda! Zawsze jak wchodzę i wołam: Rzabol, frunie do mnie z rogalem. Nie wiem tylko jak się ratuje autyzm. Myślę, że gdybym miał maturę, to też bym nie wiedział.



SKARGA – WNIOSEK Nr 11

Imię Nazwisko Paweł Buczma

tytuł skargi lub wniosku CO POTEM

ja w boga już
ty jego też
po co
dlaczego
jutro
pojutrze
martwe kaktusy
suszą miłości
wypuszczą
dwa światy

tytuł skargi lub wniosku SENSOWNOŚĆ ZŁUDZEŃ

kwasowość ludzka
nie zna granic
poprzez
sztukę kochania
utwierdza
nas
w przekonaniach
gorzkiej struktury
niewiedzy



SKARGA – WNIOSEK Nr 12

Imię Nazwisko Piotr Janicki

*POZNAŁEM DZIŚ BABKĘ NIEWYSOKA CIEMNE OCZY CZĘSTO
UŚMIECHNIĘTA RACZEJ UŚMIECHNIĘTA DŁUGIE BUTY CZARNE
WŁOSY WZIĘŁA SZAFĘ NA PIĘTRZE*

tytuł skargi lub wniosku

NIE głowicom nuklearnym
przed naszą farą

(nie ma na świecie większego wała,
niż gdy się światło zapłoni).



SKARGA – WNIOSEK Nr 13

Imię Nazwisko Joanna Lech

tytuł skargi lub wniosku

SIĘGANIE DNA TO NIE WYPAD NA WEEKEND

She's Not For You
Mark Lanegan

Zawsze można ściąć włosy. Ubrać śpiwór na głowę i gardzić. Zamieszkać pod łóżkiem, oglądać uważnie sprężyny pod łóżkiem. Lepiej z dystansu trenować jest zastój, się potem ładniej wypada na zdjęciach. I rozbierać się łatwiej. Chuchać na zimę, a jeśli gubić, to w myślach, wagę. Po czasie stawiać już tylko krzyżyk i nie bierz tego do siebie, zwierzątku. Że gdy śni mi się dzisiaj, że spadam, to, że porywam się w ogień, za tobą. Choć tak naprawdę się huśtam.

tytuł skargi lub wniosku

TAŃCZ, GŁUPIA, TAŃCZ

Let me be
The Greenhornes

Dłaczego nie chciałaś zdjąć butów, gdy weszłaś i zgasły nad tobą latarnie. Skoro zrzuciłaś je, gdy tańczyłaś. Przecież to klucie nie wzięło się znikąd. Ciemno i wiatr zawiewa ci uszy, wyglądasz jak cytat z Bukowskiego, słoneczko, gdy ruszasz biodrami i zgasły nad tobą latarnie. Słońce, gdy wyjęłaś je z oka, okazało się drzazgą.



Imię Nazwisko Joanna Lech

tytuł skargi lub wniosku

SZERSZENIE ZA ŚCIANĄ

Albo jak wtedy, gdy wstajesz nagle i siadasz z powrotem na tym rozchwybotanym stołku, bo przez chwilę tylko ci się zdaje, że za jego plecami wyrasta nieoczekiwanie głowa Koniu i najpierw nie mrugasz. Nic. Przez długo, bardzo długo, potem mrugasz za szybko, spuszczasz głowę, siadasz. Pijesz. Bo to nie może być Koniu i nie jest on, na pewno, a przecież Koniu nie żyje, nie istnieje już lata temu i nie obróciłby głowy w tym grobie, gdzie go złożyliście lata temu, tamtego lata, ile to sierpni od tego minęło? To by się już prędzej obrócił w proch. Bo pszczoła, mówisz nagle i w jego oczach, rozbieganych od duchoty i alkoholu, pojawia się błysk zrozumienia. Jednego dnia jeszcze łąził jak nakręcony po dopalaczach i psychiatrykach, drugiego się wyniósł, na dobre, znalazł pracę, kąt, szkołę, samochód, wszystko poukładane i rozłożone na raty. Użarła go, jak jechał. No i się odganiał. Stoczył. I wałnął czołowo w drzewo. Tym świeżo z myjni autem. I koniec właściwie. Nic. To przykre...

Dlatego też nie lubię miodu.

Ok.

<Jego ręka, która pełza w kierunku twojej, żeby ją ucisnąć, zamiera w połowie drogi>

Miałem tak samo.

O?

Znaczy, nie z głową. We łbie.

O.

<Ta tapeta schodzi pasami. Wąziutkimi, jakby ktoś z drugiej strony ściany szponiastymi paznokciami drapał w tapetę i jęczał>

A potem Jasny Józio. Straszny gej! Straszny! Ale kochany. Przylazł tu za chłopakiem, pogodził się, ułożył. Nakupił. Zastał. Jednego dnia tu byli, o, w 203, na weekend. Ten wchodzi, patrzy, zasnął sobie Józio. To go nie budził.

<Tapeta, która schodzi pasami, ma plamy żółte i bardziej bure. Zacieki. Są tu. Nie widać ich, ale jak się bliżej przyjrzyysz, to nawet czuć>

Lampę wyłączył. Pospał. Rano już było czuć, że martwy. Muchy i te, inne takie. Ale dopiero po dniach. Ten nie wychodził z pokoju, no siedział. Przy martwym. No i nie wiadomo, do dzisiaj, oczywiście sępy na tego, ale co mu zrobią, że niby otrul? Jak otrul? I że dlatego siedział. Nic nie znaleźli. A tam majątek był jakiś. I że zastrzyk,



zawał, tętniak, że dragi, że wąż nawet pod kanapą. Testowali i nic. Był i umarł. Tamtego badali na drutach, aż się popłakał.

<Tyle dymu, co tu wsiąkło, w tą ścianę, tyle oparów, można by chyba nie pić w ogóle, można by lizać gołe ściany>

Przynajmniej książkę skończył czytać, zanim to, eh. Zanim.

<Za tą ścianą wisi gniazdo szerszeni. To one bucza nocami. Całe noce, zawsze>
Mówiłem ci, że to wentylatory.

<Nie>

<Butelka, która spadła, została podniesiona>

A kiedyś kręcili tu teledysk, wiesz. W tym hotelu. Zdechł aktor, potem przez tydzień jeszcze dudniło w ścianach. Nocami huśtał się żyrandol, co się na nim powiesił. Tynk się sypał do szklanek.

<Nie, to szerszenie, co wieczór, gdy tu siedzisz, w dusznym hotelu, w zadymionym barze, na rozchybotanym stołku bez oparcia, przykładasz ucho do ściany i one są>

A mówił wcześniej, że był zmęczony.

<Przykładasz rękę płasko do ściany, za ścianą cisza>

Ale pomysłem sobie, takie to życie. Ciach! I nie ma chłopca. Trach! Ciach! I koniec. To pożyczyłem łódkę.

<Dziewczyna przy ladzie ma niebieską kurtkę, paski na rękawie błyszczą od lampy>
Kupiłem psa. Terriera. Sprzedałem volvo.

<Jak jej nie za gorąco w tej kurtce, po mnie pot się leje litrami. Mucha wkręciła się w zasłonę>

Chwilówki i na Tatry. Turystom wynająłem mieszkanie, za kasę solarka. Koszule. Chorwacja. Rolki. Biceps. Żagiel. Snapczat. Totalna, kurwa, harówka.

<Na podłodze leży zgubiony bilet>

Narysowałem cienką, czerwoną linię między tym a przeszłym i skakałem przez nią jak w gumę.

<Koniu wraca przez salę z nowym piwem i wciąż wygląda jak Koniu>

<Przecierasz oczy>

Ten, co mu wczoraj mówiłem, żeby nie skakał na główkę, bo głęboko i niebezpiecznie, skoczył dziś z klifu i rozbił.

<Wszędzie, żeby tylko nie patrzeć na jego brwi. Na pewno z jego czoła spływają krople potu, jego czoło miało linie, zmarszczone nieustannie, zbierały się między brwiami, ale. Ten chłopak nie ma brwi, ma jedną linię>

I potem gorzej. Jachty. Paralotnia. Tajlandia. Berlin. Dzieciaki. Kluby. Dragi. Piwo.



Drogie piwo. Skakanie na główkę z klifu. Przez gumę, wte i wewte.
<Linia jest czarna. Gdy przechyliła głowę, wygląda jak przecinek, tłusty i zdziwiony, strasznie to wygląda, zmienia się w pauzę>
Dwa dni potem skrzyłem nogę.
O!
Kostkę. Schodząc z krawężnika. Z Biedry. Wszystko w dupę i miesiąc gipsu w upale na tym hotelowym wyrze.
Och.
W sierpniu. Masakra. Bo co jest z tą klimą? Nic nie działa.
<Stuka w ścianę>
Nic. Najlepszą chwilą było, gdy się zmieniała pogoda. Słońce chodziło po ścianie.
<Za ścianą cisza>
Wieczorami baba naprzeciwko ćwiczyła tyłem do okna, i raz i dwa i zmiana nogi.
I przysiad.



Imię Nazwisko Alžběta Stančáková

tytuł skargi lub wniosku

HOTEL INSIDE

Jak tak cesałem sobie wilgotne włosy, robiąc przedziałek, to, przysięgam, przez chwilę miałem wąsik. Tylko przez chwilę.

Pracuję jako portier w hotelu Django. A na dworze właśnie się rozpadało. Goście naszego hotelu nazywają mnie czasami aportier. Rzucają mi napiwki, na przykład na podłogę. Chcą, żebym je aportował. Jak pies. Potem im je przynoszę i muszę po psiemu poprosić. Wtedy może coś dostanę.

Noszę libierię z dziwnymi guzikami. Pan Django, właściciel hotelu Django, przyłapał mnie kiedyś na tym, jak pozwalam Wielkiej Kucharcze obliżywać mi te guziki, i straszliwie się zdenerwował. Nie na mnie, o dziwo. Pogroził mi tylko, że jeśli jeszcze raz to zobaczy, wszystko powie małej kuchareczce, czyli dziewczynie, którą kocham i z którą planuję się ożenić, jak tylko zarobię dość pieniędzy. Aportowanie napiwków nie przynosi kokosów, ale za parę dekad powinniśmy mieć wystarczająco dużo pieniędzy na nowy start.

Czasami razem z małą kuchareczką wylegujemy się w pralni. Na pościeli skropionej przed maglowaniem. Kuchareczka jest mianowicie również praczką. Ma dwie prace, ale to nic nie szkodzi. Ja jestem portierem i właściwie też recepcjonistą, w mojej pracy trzeba się jeszcze bardziej natryrać. I to nie tylko wtedy, kiedy aportuję. Czasami jestem zmęczony i źle widzę. Muszę uważać, aby dobrze odczytywać numery pokoi.

W naszym hotelu zatrzymują się przede wszystkim panowie w garniturach w paski. Niespecjalnie się lubią, bywa, że w nocy słysząc strzały. W nocy i w czasie strzelanin oglądam sobie obrazkowy atlas zwierząt, który mam już od dzieciństwa. Odkładam go tylko wtedy, kiedy ktoś czegoś potrzebuje. Czyli właściwie całkiem często.

Ze zrobionym przedziałkiem wychodzę ze swojego pokoju.

Pokój portiera jest znacznie skromniejszy niż pokój dla gości. To nic nie szkodzi, mnie to wystarczy. Cały czas myślę o tym dziwnym cieniu, który dorysował mi nad ustami wąsik. Mnie przecież żaden zarost nie rośnie.

Schodzę do recepcji, gdzie już czekają na mnie dwie osoby. Mężczyzna i kobieta. Mężczyzna ma biały garnitur w czerwone paski, kobieta, choć młoda i ładna, ma



aż nieproporcjonalnie wielki brzuch, który wygląda, jakby nosiła w nim coś ot tak, przejściowo. Coś, co z czasem wyleci. Wygląda na zmartwioną, ta kobieta.

— Hej ty tam, aporter! — woła mężczyzna, kiedy mnie zauważa.

— Czego pan sobie życzy? — pytam.

Oboje są przemoczeni deszczem, który już pół nocy pada na dworze.

O czym tu rozmawiać, aporterku, czego moglibyśmy sobie życzyć? Popatrz no na nas! Na dworze leje jak z cebra, a my nie możemy jechać dalej, tak że jedną dwójkę por favor!

— Tutaj, proszę, numer 300.

Biorę ich bagaże. Dwie walizki i jeden ciężki futerał z jakimś instrumentem muzycznym. Jedziemy windą na trzecie piętro. Mężczyzna w garniturze z czerwonym paskiem kładzie mi napiwek na język.

Wracam do recepcji. Przeglądam właśnie atlas zwierząt, na stronie, na której są morsy, kiedy przychodzi do mnie moja Kuchareczka i pyta, czy nie poszedłbym z nią do pralni.

— Chciałbym, ale wiesz, to jest tak strasznie ciekawe — pokazuję jej kły morsa na obrazku.

— Ty to już przecież widziałeś z tysiąc razy!

— Ale za każdym razem znajduję coś interesującego. Nowego. A poza tym jeszcze jest wcześniej. W każdej chwili może się ktoś pojawić.

— Za godzinę idę skropić pościel! Chcesz czy nie chcesz! — mówi Kuchareczka, teraz raczej praczka, wygląda przy tym na rozdrażnioną. Odwraca się i odchodzi.

Otwieram na stronie, gdzie są wieloryby. Ale nie mogę się skupić. Myślę o kuchareczce. O tym, że ostatnio coraz bardziej się złości. Że kiedy wylegujemy się w pralni, robi mi wyrzuty, że nie chcę jej rozebrać. A kiedy sama zacznie się rozbierać, staram się jej w tym przeszkodzić, żeby się nie przeziębila. Ja przecież chcę dobrze.

Obok recepcji przechodzą mężczyźni w garniturach w paski. Wiele ich teraz wyszło na dwór, w ten deszcz. Różne kolory garniturów i pasków. Futerały różnych kształtów, z różnymi instrumentami muzycznymi. Cała plejada. Pałą cygara.

Patrzę na obrazek wieloryba z wystającym brzuchem. Przejeżdżam palcem po brzuchu namalowanym na papierze kredowym, kiedy słyszę kobiecie kroki zbliżające się do recepcji. Odrywam wzrok od książki. To ta ładna kobieta, która przed chwilą wynajęła pokój z tym panem.



- Nie mogę się dostać do toalety — mówi.
- Te... te drzwi do toalety są na żeton, na pewno ma go pani przy kluczach.
- No, jest to możliwe, ale mąż gdzieś poszedł, a klucze razem z nim. Robię się zakłopotany. Wilgotne włosy już mi wyschły. Teraz są jasne i falujące. Nie wiem, co mam zrobić, więc odrywam sobie jeden guzik od liberii.
- Proszę, niech pani spróbuje tego.
- Jak to nie zadziała, to dopiero pan zobaczy.

Oglądałam sobie delfiny. Z małymi ząbkami, takimi, jak ma kuchareczka. Obok recepcji nie przechodzą już mężczyźni z cygarami i futerałami. Już jest cisza. Wszyscy wyszli albo śpią. Jest późno. W recepcji zatrzymał się guzik z mojej liberii.

- Zadziałał — powiedziała kobieta z iskrzącym uśmiechem. — Mam nadzieję, że ma pan kogoś, kto go panu przyszyje.
- Moja narzeczona jest kucharką i praczką. A ja recepcjonistą i portierem. Może kiedyś ona zostanie szwaczką, a może ze mnie będzie krawiec.
- No nie, to pan już ma narzeczoną? — interesuje się kobieta.
- Mam. Właśnie tu idzie, o tam!
- Obok przeszła właśnie Praczką z wózkiem na pranie, pchała go, był większy od niej. Rzuciła nam dziwne spojrzenie i zniknęła w pralni.
- Nie ma pan igły z nitką? Mogę panu to przyszyć — mówi piękna kobieta i siada obok mnie w recepcji. Jej wielki brzuch dotyka mahoniowej płyty.
- Nasz gość, nasz pan — mówię i wyjmuję z szuflady igłę z nitką.
- Musi pan ściągnąć tę liberię — śmieje się.
- Nie ma mowy. Mamy zakaz zdejmowania liberii. W godzinach pracy.
- Niech pan poczeka, spróbuję inaczej.

Ślini nic. Nawleka ją na igłę, którą wbija mi w pierś. Nic nie boli. Przyszywa mi guzik, a ja czuję jej zapach. Obok przechodzi mężczyzna w garniturze w paski. Jest jednym z wielu, więc go nie zauważam. Kobieta z wielkim brzuchem jest tylko jedna. Zamykam oczy i mam nadzieję, że to przyszywanie nigdy się nie skończy.

- A gdzie się podział pani mąż? — pytam, kiedy przegryza nic.
- Nie wiem. Chyba poszedł coś komuś dać. Chyba w mordę.
- Aha.
- A co z pana narzeczoną?
- Kropi pościel w pralni. Powinienem tam do niej pójść.
- Obiecał pan?
- Nie. Ale ona tego chce, i ja chcę. Żebym przyszedł. Więc pójdę.



Podnoszę się i czuję, jak drobniutka rączka kobiety ciągnie mnie za liberię.

— Nie dam rady oderwać tego guzika, tak porządnie go przyszyłam. Bo wie pan, znowu mi się zachciało. Zaraz oddam — śmieje się podstępnie.

Próbuję oderwać guzik, ale w tej samej chwili rozlega się strzał. Blisko. Oboje jesteśmy wystraszeni. Kobieta wtula się we mnie.

— Nie chowaj się tak, ty dziwko. Stary Greg dał mi cynk, co tutaj wyprawiasz. Przechodził obok recepcji i cię widział. Jak tu podrywasz to koźlątko po drugiej stronie. No, pokaż, co potrafisz! — To mężczyzna w białym garniturze w czerwone paski.

— James, ja... — czuję, jak jej broda rusza się na mojej klatce piersiowej.

— Nie marudź i chodźże tu! Jedno i drugie. Wyłazić mi z tej recepcji i cho no tu. Żebyś to ja jeszcze na was miał czas. No co?

— James, przecież wiesz, że to ---

— Że co? Myślisz, że nie wiem, jak bardzo nie chcesz ze mną być? Gdybyś ze mną nie wpadła, już dawno byłabyś z innym!

— Ale...

— Żadnych ale! Milcz albo będę strzelać.

— James, James, czy ty myślisz, że zostawiłabym cię dla tego dzieciaka? — wrywa mi się zobjęć. A ja myślę o tym cieniu, który tak przypominał wąż.

— Nie jestem żadnym dzieciakiem — krzyczę — mam pracę i --- i --- narzeczoną!

— Narzeczoną, tak? — podśmiewa się James.

— No. Właśnie idzie.

Pracзка idzie z wózkiem na pranie. James mierzy do niej z pistoletu.

— Patrzcie tylko, taka młodziutka. Nie przeszkadza pani, że pani narzeczoną puszcza się z moją żoną?

— Co to, przepraszam...

— No, co?!

Pracзка odwraca się w moją stronę.

— To prawda?

Przełykam ślinę. Nic nie rozumiem. Wpatruje się we mnie.

— Cały czas mam nadzieję, że będziemy się kochać.

Podchodzi do recepcji, James mierzy na przemian do całej trójki, a Pracзка bierze do ręki mój atlas zwierząt.

— Cały czas się łudzę, że mnie przynajmniej rozbierzesz — kartkuje go — a ty się tu w międzyczasie zabawiasz z tą brzuchatą raszplą.

— Ja nie jestem brzuchatą raszplą.

— Moja żona nie jest brzuchatą raszplą.

— Ależ jest. Gdyby nie była, po co by go uwodziła.

— Nie uwodziła go. To on ją uwiódł!

— Jak niby miałby to zrobić. Spójrz pan tylko na niego — w głosie Kuchareczki dało



się wyczuć subtelność, litość i wściekłość, przyciskała mój atlas zwierząt do piersi. — To ta pańska lumpiara. I wcale jej się nie dziwię. Z kimś takim jak pan, z idiotycznym gangsterem z pukawką, i tak nie mogłaby być szczęśliwa!

Padł spokojny strzał. Ciało Kuchareczki zważyło się na ziemię. Co prawda mój atlas, ten, który miałem od dziecka, spowolnił bieg pocisku, ale mimo to Kuchareczka zmarła. James strzelił później jeszcze kilka razy. Na zapas. Wszędzie latały rykoszety.

Pan Django przyszedł nad ranem. Ucisnął dłoń temu całemu Jamesowi i jak zawsze zaznaczył, że jego hotel to dyskretne miejsce i że nie zrobi z tego żadnej afery. To samo dotyczy personelu, powiedział, i popatrzył w moją stronę. Dodał, że jest mu oczywiście przykro, że stracił dobrą kucharkę i prачkę, ale że przecież biega ich po świecie cała masa. I że przynajmniej ten tutaj na recepcji będzie się częściej zajmować tym, czym powinien.

Po tych słowach pan Django podał mi przestrzelony atlas zwierząt. Po śniadaniu kobieta i mężczyzna odjechali. Kobieta z wielkim brzuchem pocałowała mnie w czoło, była cała we łzach. Jej mąż rzucił mi przez korytarz napiwek, żebym sobie złapał, ale już za nim nie biegłem. Już i tak nie muszę oszczędzać. Już nie mam narzeczonej.

Kiedy pan Django znowu sobie pojechał, przyszła do mnie Duża Kucharka. Lizała mnie po guzikach mojej liberii. Powiedziała mi, że w jednym z nich jest wgłębienie. Musiało być od zagubionej kuli. Duża Kucharka oblizywała mi guziki, a mnie się to nie podobało. Palec wskazujący miałem wciśnięty w przestrzeloną dziurę w atlasie zwierząt. W przestrzeloną dziurę, która zniszczyła większość obrazków, więc już nigdy go nie przeglądałem. Tylko wszędzie go ze sobą nosiłem, dopóki nie rozmozczył mi się straszliwie w deszczu.

A później, kiedy przemoczony do suchej nitki robiłem sobie przedziałek przed lustrem, znowu zauważyłem ten cień, który przypominał wąs. Tym razem już tam został. Już nie zniknął.

Alternatywne zakończenie

— Nie uwodziła go. To on ją uwiódł!

— Jak niby miałby to zrobić. Spójrz pan tylko na niego — w głosie Kuchareczki dało się wyczuć subtelność, litość i wściekłość, przyciskała mój atlas zwierząt do piersi. —



To ta pańska lumpiara. I wcale jej się nie dziwię. Z kimś takim jak pan, z idiotycznym gangsterem z pukawką, i tak nie mogłaby być szczęśliwa!

James odwrócił się do swojej żony. Mierzył jej pistoletem w serce.

— To prawda?!

— James — ja ---

— Myślisz, że ja nie wiem, jak mnie nienawidzisz i wyklinasz?

— Myśl o naszym dziecku.

— W dupie mam nasze dziecko!

Padł jeden spokojny strzał. Kobieta z wielkim brzuchem zwała się na ziemię. James strzelił później jeszcze kilka razy. Na zapas.

Pan Django przyszedł nad ranem. Uścisnął dłoń temu całemu Jamesowi i jak zawsze zaznaczył, że jego hotel to dyskretne miejsce i że nie zrobi z tego żadnej afery. To samo dotyczy personelu, powiedział, i popatrzył w moją stronę.

James odjechał. Z Kuchareczką. Kiedy się ze mną żegnała, pocałowała mnie w czoło. Była cała we łzach. James rzucił mi przez korytarz napiwek, żebym sobie złapał, ale już za nim nie biegłem. Już i tak nie muszę oszczędzać. Już nie mam narzeczonej.

Kiedy pan Django znowu sobie pojechał, przyszła do mnie Duża Kucharka. Lizła mnie po guzikach mojej liberii. Powiedziała mi, że w jednym z nich jest wgłębienie. Musiało być od zagubionej kuli. Duża Kucharka oblizywała mi guziki, a mnie się to nie podobało. Palec wskazujący miałem wciśnięty w przestrzeloną dziurę w atlasie zwierząt. W przestrzeloną dziurę, która zniszczyła większość obrazków, więc już nigdy go nie przeglądałem. Tylko wszędzie go ze sobą nosiłem, dopóki nie rozmoczył mi się straszliwie w deszczu.

A później, kiedy przemoczony do suchej nitki robiłem sobie przedziałek przed lustrem, znowu zauważyłem ten cień, który przypominał wąs. Tym razem już tam został. Już nie zniknął.

przełożyła Zofia Bałdyga



SKARGA – WNIOSEK Nr 23

Imię Nazwisko Katarzyna Kamińska

tytuł skargi lub wniosku

B R A K T Y T U Ł U

Wakacje w Polsce. Tak mi się wydaje, bo po drodze nie przekraczałam żadnych granic, język się nie zmienił, ale coś nie grało. Jakbym wkroczyła w równoległą rzeczywistość, której istnienie przeczuwałam, ale nigdy nie miałam okazji jej doświadczyć.

Polska płynąca syropem glukozowo-fruktozowym, pachnąca przepaloną fryturą i olspajsem. Kobiety od rana wkurwione, bzyczą i do kusych topów noszą silikonowe ramiączka. Te wrzynają im się w skórę, ale im to nie przeszkadza, są twardzielkami, znoszą swoich mężów i dzieci, nic im już nie straszne. Mówią równoważnikami zdań i cytatami z disco-polo, choć słyszałam też jedną, która powiedziała do swojego syna w Biedronce: Brajanku, idź, a jak nie, to tak cię kopnę w dupę, że ci gówno buzią wyjdzie. I zaśmiała się w głos, a kumpela jej zawtórowała. Bo dzieci mają w tej Polsce na imię Kewin, Brajan, Rajan, Nikolka, Samanta albo Dżesiczka. Praktycznie wszystkie mają dodatkową fałdkę i niechętnym wzrokiem patrzą na cokolwiek, co nie jest smartfonem albo frytkami z keczupem. Mężczyźni są tu na permanentnej wewnętrznej emigracji, w czym dzielnie wspiera ich Tyskie i fakt, że nikt z rodziny już niczego od nich nie wymaga, taką sobie pozycję przez lata wypracowali. Koszulkowy patriotyzm jest tu elementem częstym, ale nie nieodzownym.

Bezpiecznie w tej Polsce, dookoła plastik. W skleconych na szybko knajpach ciągnących się wzdłuż jeziora wszystko jest plastikowe: drewno, szkło, nawet metal. Nie wiem, jak oni to robią, ale na pewno mają jakiś dodatkowy enzym, który ułatwia trawienie plastiku, bo jedzenie też przypomina elementy zabawkowego zestawu mały kucharz. Hamburgery, czizburgery, knysze, tosty, wszystko identyczne, koniecznie z sosem barbekju.

Byłam w tej Polsce, nad jeziorem i nad morzem, i w lesie. I czułam, że kompletnie nie rozumiem miejsca, z którego pochodzę. Że jestem świadkiem czegoś ważnego, czegoś na co czeka się cały rok, na co odkłada się hajsy, a potem z dumą je wydaje. Czegoś co z jednej strony szanuję, a z drugiej obserwuję z zaciekawieniem badacza obcej kultury. I kompletnie nie stać mnie na obiektywizm. Znacie to miejsce?



SKARGA – WNIOSEK Nr 24

Imię Nazwisko Maciej Melecki

tytuł skargi lub wniosku

Po tym wszystkim, co jest, nie będzie już żadnych możliwości powrotu. Zacznie się dotkliwy proces narastającego zawężenia możliwości życia w coraz to bardziej opresyjnych warunkach. Każdy wymiar zostanie poddany gwałtownej redukcji; wraz z ograniczeniem swobody wypowiedzi, będzie ograniczana swoboda poruszania się wskutek zawyżonej i uściślanej kontroli nad każdym przejawem życia. Koszmar jawy zostanie upostaciowiony. Rozpad będzie czymś konkretnym. Aluzyjność stanie się jedynym, możliwie dostępnym, acz nie mniej od innych, tępionym kodem. Sekowanie za wszystko, co zrobisz, co powiesz. Powróż, widły i motyka – oto narzędzia przyszłych lat. Ocena zawsze będzie jednoznacznie surowo zła. Inny świat będzie tylko przeszły lub obmurowany granicą – gdzieś dalej, gdzieś za górami, za lasami, za fałdą tego ugoru, na którym skończysz swoje pięćdziesiąt lat. Wszelkie więc przewidywania, co do tego, czym może zakończyć się to, co jest teraz, okażą się naturalnym stanem – mierzwą, błotem, kłębowiskiem zbutwiałych szmat; zgrzybiałą, przegniłą, zaszczaną klatką schodową, która będzie bieżącym schronieniem, koczowiskiem dla twoich rozbieganych drgań. Udasz się w nic. Nic nie odseparuje cię od takich cielesnych mar. Margines będzie się zaczynał od miejsca, gdzie będziesz tkwił, a kończył w punkcie, do którego się już nie doczłogasz. Poziom wyzuje ci pion.



SKARGA – WNIOSEK Nr 25

Imię Nazwisko Adam Kaczanowski

tytuł skargi lub wniosku

WIERSZ, KTÓRY CHCE UDERZYĆ

Pluj sobie w brodę święty Mikołaju
że nie powiedziałeś dzieciom
że tak na prawdę nie istnieją.
Twój eskapizm
to eskapizm z punktu A do punktu B.
Gdybyś chociaż potrafił uciec
albo coś ukraść i uciec
Renifer wymiotuje szprotkami
Kruki rozdziobują wrony
Kiedyś w pokoju hotelowym
próbowałem zwalić konia prosto do lodówki
(to było w Częstochowie)
Nie udało się. Nie uda się.
Dzieci. Nie istniejecie.
Jesteście warte tyle, ile szynki zjecie.
Uderzenie twojej pięści ma imponującą siłę inercji,
zrób coś z tym.
Uderz w ten szwedzki stół z jajecznicą w proszku.
Nie schrzań chociaż tego.
Każde uderzenie twojego serca
jest przypadkowe.



SKARGA – WNIOSEK Nr 26

Imię Nazwisko Kuba Niklasinski

tytuł skargi lub wniosku LUXURY

Dlaczego tak uparcie broniłeś tej poczty, na jakim Pomorzu siebie?
Są jeszcze krocie innych poczt innych Pomórz. Ty gościu
siądz pod liściem; wrześnie, „zbieraj kody — zostań aktorem”.
Są jeszcze miejsca na Czarnolas, Czarnobyl lub bez Czarnobyla
— las, Sejm, Mars, Amsterdam. Autokar pełen dobrych ludzi opływa w pot
spojrzenia spotykają się w przestrzeni nad dorodnym biustem.
Jedźmy. Kometa nad Doliną Zaimków. Pogoda bucha.

tytuł skargi lub wniosku TARA

[...] albo przygody z przedmiotami na falach nieistniejącego morza w Oradei nocą.
Przedmioty wnet są jak gromada małych zwierząt morskich zaliczanych do oślonic.
Woda zdaje się wypełniać szczelnie korytarze dość obskurnego przydrożnego motelu.
Jaźń nie ma tu nad niczym kontroli.
Stoisz i słuchasz, jak na tarasie deszcz stara się dogadać oceanowi. Pada
do środka (?).



SKARGA – WNIOSEK Nr 27

Imię Nazwisko Robert Ryba Rybicki

tytuł skargi lub wniosku HOTELOWY

Znowu ten zajebany smród z łazienki, kabina prysznicowa z urwanymi drzwiami, boy najebany, czuć gównem z ryja recepcjoniście, dach przecieka, w kominie krączy wrony, jakieś skurwysyny drą ryja pod oknem, prześcieradło obsrane, ręczniki obrzygane, kurwa ja pierdolę i ciągle ktoś krzyczy za ścianą, jakby był katowany na placu apelowym w Auschwitz.



Imię Nazwisko Rafał Różewicz

tytuł skargi lub wniosku

ROZMOWA W „KATEDRZE”

Na twoje wkurwienie nie pomogą unijne dotacje.
Na twoje wkurwienie nie pomoże kredyt zaciągnięty,
by spłacić poprzedni. Na twoje wkurwienie nie pomoże
gość z ambony – strzela przykazaniami jak palcami:
„Krzykniesz państwo i masz je w garści” – dodaje.
Na twoje wkurwienie lekiem jest większe wkurwienie.

Poza tym, wiesz, coś tam, coś tam, słowem: wkurwienie.
Bo nikt nie wie, gdzie się podziały tamte prywatki jak dotacje,
odkąd państwo zajęło się umywaniem rąk – dodaje.
Zostajesz z niczym. Albo z Bogiem. I nawet zaciągnięty
sweter z Biedry świadczy o tym, że można palcami
wszystko. Kwestia tylko, gdzie je włożysz. Pomoże

w wyborze jeden z tych funduszy emerytalnych: pomoże
państwu ci nie dożyć, a jak dożyjesz, to upadnie, i myślisz że wkurwienie
coś załatwi? Fundusz, państwo? Ktoś za to odpowie? Z wkurwienia palcami
bębnisz po kierownicy, bo sąsiad z naprzeciwka otrzymał dotację,
a ty list. W nim czarno na białym, że zaciągnięty
kredyt powiększył się nagle, bo jest we frankach. I chuj – dodaje

ta, co go nie ma, ale ma już z tobą tylko trochę do czynienia. Dodaje
to sobie jako punkt w pozwie rozwodowym, który pomoże
jej zabrać dziecko, niczym: cały świat zaciągnięty
jak wtedy – na jedną noc do łóżka. Potem przyszło wkurwienie,
bo państwo zapowiedziało dotacje
na drugie i więcej – i życie zaczęło przelatować między palcami.

A tak poza tym: ty też jesteś za stary, żeby palcami
robić coś więcej niż młynek. Bo miast odejmować: każdy lat tobie dodaje
z prędkością odrzutowca. Załamany, bo nie chodziło o takie dotacje?
Na twoje wkurwienie i załamanie pomoże
uniwersytet trzeciego wieku: nauczy, jaką wiedzę zabrać do grobu. I to wkurwienie,
gdy słyszysz, że pracy nie ma dla ludzi w twoim wieku i z wykształceniem – zaciągnięty



więc przez nielicznych kumpli do baru, jak wtedy zaciągnięty
przez tę, co wręcza ci pozew rozwodowy drżącymi palcami,
przypominając, że kilka razy twoje wkurwienie
odbiło się na niej: „Bo kto studiuje europeistykę na zapadłej prowincji!” — dodaje
po raz ostatni — wiesz już, że ma rację i nic ci nie pomoże,
kiedy pozostaje gapienie w ekran — lek na twoje i nie twoje dotacje,

wkurwienie konieczne dla jego bolesnej męki — powtórnie zaciągnięty
na krzyż przez dotacje; sprawiają, że wciąż odświeża się jego rana, co dodaje
powagi. Tym, którym nic nie pomoże; grzebią w niej, jak w korycie — gołymi palcami.



SKARGA – WNIOSEK Nr 30

Imię Nazwisko Rafał Gawin

tytuł skargi lub wniosku

WIERSZ O UKRYWANIU SIĘ W SIECI

Czytałem wiersz o więzieniu, gdzie słowo „siedzę” było zaskakującą puentą PRL-u, w którym wszystko oprócz podmiotu lirycznego stało. A teraz przez głowę przechodzi mi inne siedzenie (siedzenia — rzekłby empatyczny erotoman), ten rodzaj więzienia dla seryjnych tożsamości (rym jak wyżej znaczący): na nic się nie nastawiam, ale i niczego nie wykluczam, dlatego tkwię w tym rozstrojeniu jaźni, jak Bóg, tyle że nie jednocześnie, bo daję poznać (o, Poznaniu przez Pe!), że któraś osoba okazuje się najważniejsza. I nigdy nie jest to duch. Wymagamy mniejszych słów. Jeszcze jeden buch, i może znowu mnie w czymś zamkną.



SKARGA – WNIOSEK Nr 31

Imię Nazwisko Piotr Gajda

tytuł skargi lub wniosku SOMA

W trzeciej osobie przyglądam się pozostałym
dwóm. Ja i *ja* to nie jedno. Jakby odbito mnie

w lustrach gwiazd, jakbym tańczył do beatu
głuchoniemego DJ-a. Rodził się i pił z tej samej

kałuży. Zjednoczony w mrowiu, w robactwie.
Każda instytucja to prostytutka, każde państwo

to draństwo. Jak dziecko w rękach kosmicznych
pedofilów, jak ludzka larwa z inkubatora,

która nie potrafi mówić, stąd nie wypowie
imienia jedyne Stwórcy. Ja i *ja* to jedno.

Jedna gruda błota zaschnięta na bryłce
złota w imię koncepcji doboru naturalnego,

opisywanego jako walka o byt. Spoivo z bliźnim,
plugawe dziedzictwo cząstek gleby, mułu, gliny

i krwi. *Ecce homo* w skorupce, eksplicytne
odpowiedź na opatrzenie pojęte „bierzcie i jedzcie”,

skoro w takim wydaniu przypomina *spécialité*
de la maison. Tak więc ciało dzielące się ciałem

z innym ciałem to jeszcze jest boskość,
czy już tylko zwykły seks?



Imię Nazwisko Piotr Gajda

tytuł skargi lub wniosku ATLAS

Oto paradoks współczesnych kontestatorów:
kopiowanie, rozpowszechnianie lub wykorzystywanie

w dowolnych celach całości lub części jest zabronione.
Jakim więc sposobem zaistnieję w wybranej witrynie?

Wisząc za oknem głową w dół? Trzymany za nogi
przez mafiosów tego świata — wiekuistych Panów,

Wójtów i Plebanów — asystujących mi codziennie,
aż do chwili przejścia na stronę tamtego,

przekonam się, że nareszcie egzystuję we właściwym
położeniu. Lub, jeśli właśnie ono określa mój prestiż,

będę je odczuwał jako to jedyne na liście pozycji,
jakie nie przynosi rozkoszy, wyłącznie niewygodę.

Tudzież dyskomfort płytki jak dołek w brodzie
besserwissera, który rozbawiony spostrzegł, że palce

zaczisnęli na garniturze pozbawionym wypełnienia.



SKARGA – WNIOSEK Nr 33

Imię Nazwisko Piotr Gajda

tytuł skargi lub wniosku NASZYJNIK Z APOKALIPSY

Panu mylą się porządki. Deratyzacja
metodą wojny za każdym razem

będzie tym samym, co czynność
polegająca na wlewaniu lizolu

do muszli. Zagłada nigdy nie bywa
intymna, nawet gdy porównamy ją

do higieny. Bo widzi pan, na tym
właśnie polega paradoks utrzymywania

świata w odpowiedniej harmonii:
cóż z tego, że trwanie ludzkości

jest niehigieniczne, skoro umysł
człowieka bywa niezgłębiony

i ma zakamarki? Jak cień nie posiada
oczu, które mógłby zmrużyć,

tak żaden glob nie zapowie
własnego końca. Gasnąc, skurczy się

do rozmiarów szlaki, masy
szklistego, spieczonego popiołu,

zawieszki godnej łańcuszka.



Imię Nazwisko Radosław Szczygiel

tytuł skargi lub wniosku

+

Wszystkie pliki są na miejscach
A kokosowa woda chłodzi się
Z tego prostego faktu
Linia podziału pomiędzy nami
Przechodzi tam gdzie ostatnio
Widziałas baleriny za całe 500 zło
Bo przecież
Najwyżej
Nie będziesz
Jadła
Piotrek

Piotrek
lat 23
szlachta nie pracuje
twierdzi
że ten
kto nosi
musztardowe rurki
musi być pedałem
przecież musztardę
można ewentualnie
podać do kielbasy
z niedzielnego grilla
popitej piwem z puszki
albo umordowanych ciał kurczaków
których piersi, również po śmierci
nie zaznały spokoju
Krew męczenników zamienia się w kaszanke
którą konsumują owiniętą w boczek
schowaną w pазłotku
relatywizującym pojęcie biedy
Gdyby dziadek Piotrka
był na fejsie
rozpocząłby opowieść o Verdun
Drżyszwiwszy nie powinno się pisać w komórce
biały papier, pióro gęsie
proces wchłaniania atramentu



SKARGA – WNIOSEK Nr 35

papier wciągnie każdy banał
jak horoskopy zapętlonych obietnic polityków
a niższe podatki pozwolą Ci kupić upragniony
opał
na zimę
i chociaż mamy dopiero czerwiec
drżysz



SKARGA – WNIOSEK Nr 36

Imię Nazwisko Malgorzata Wator

tytuł skargi lub wniosku SIEDEM DNI UMIERANIA

Pierwszego dnia – jest dźwięk
Błyszczący jak echo
Długotrwały jak szczekanie psa.

Jego natarczywość budzi
W ludziach konsternację
Stawia na nogi pierwotny lęk

Drugiego dnia
Umiera ciało.

Trzeciego dnia
Nie wolno zatrzymać duszy.
Pora wyłączyć zegary
Prześcieradłem zakryć lustra
Po to aby dusza nie chciała tu zostać.

Czwarty i piąty dzień
Jest dla Ciebie
Dla Twojego smutku

Szóstego dnia
Musisz zorganizować pochówek

Siódmego
Zakopać ciało.



Imię Nazwisko Piotr Lenarczyk

tytuł skargi lub wniosku

BEZSENNOŚĆ NOCY LETNIEJ

Nienawidzę lata. Latem nie mogę spać (nienawidzę nie spać), bo sąsiedzi non stop przesiadują na balkonach. Ten po prawej włącza telewizor na pełny regulator, a potem idzie na balkon i siedząc dupą do podwórka ogląda sobie i słucha aż zastanie go świt. A mnie razem z nim. Z kolei kretyń z naprzeciwka obsesyjnie remontuje taras. Do późnych godzin nocnych skrobie, stuka, skurwysyn. Ostatnio o północy malował poręcz na pomarańczowo. Kto maluje poręcz o północy? Kto maluje poręcz na pomarańczowo? Nienawidzę pomarańczowego. Pomarańczowy przypomina mi słońce. Słońce przypomina mi lato. Nienawidzę lata.

Zróbcie coś z tym!



SKARGA – WNIOSEK Nr 38

Imię Nazwisko Błażej Jacek Kłajza

CIULEJ MI GAŁĘ! CZYLI NIE MASZ RACJI LUB DOKONAJ AKTU ORALNEGO NA MYM NARZĄDZIE PŁCIOWYM EWENTUALNIE, PĘDŹ BIZONY I POMPEJ LIŚCIA CZYLI ODEJDŹ W POKOJU BO NIE INTERESUJĄ MNIE TWOJE POGLĄDY.

tytuł skargi lub wniosku

krótco po urodzeniu zauważyłeś że świat stoi do góry nogami
i ni chuja nie dało się naprostować szczególnie tych okrągłości
co w porze karmienia przywierały ci do twarzy jak jakaś przywra

w miarę upływu czasu obraz stawał się bardziej krystaliczny
i zza mgły zaczęły docierać do ciebie impulsy dziwnego światła
jednocześnie pojawiły się pierwsze pastelowe kolory a ty miniaturo
człowieka wrzeszcząc w niebogłoty — kurwa weźcie to straszydło
i wyrzucie w cholerę, co dla innych brzmiało aaaaaaaaaaaaaa —
wierzgałeś na oślep kończynkami i srałeś w tetrówkę raz po raz

aż nagle pojawił się dźwięk i wszystko zaczęło nabierać sensu
i w ciągu następnych kilkunastu lat nauczyłeś się jak przetrwać
w nieprzyjnym środowisku wiecznie inwigilujących małpatek

i zaczęły ci rosnąć włosy pod pachami a gruczoły co raz to wstrzykiwały
w żyły wydawałoby się śmiertelne dawki hormonów i te nerwice natręctw
to raptem przygrywka do mniejszych od oczekiwanych zakazów i nakazów

a po około sześciu tysiącach pięciuset siedemdziesięciu czterech dniach
zatrzasnąłeś wrota warowni od zewnętrznej strony lekkim chujem



SKARGA – WNIOSEK Nr 39

Imię Nazwisko Marek Kołodziejski

tytuł skargi lub wniosku

PRZEDMIEŚCIE

Elżbiecie

W tym hotelu mieszkał ambasador,
zagubiony dyplomata przepadł w stepach.
Nikt nie pamięta jego imienia, przypadek,
tylko ten hotel poświadcza ambasadora,
uwierzytelnia niegasnące pełnomocnictwo.

My zaś nie mamy na hotel, dlatego zmieniamy
roztawne ekspresy, zajechane do cna,
do ostatniego płatka rdzy. Nasza jest ta
rozklekotana noc i księżyc z każdej strony
brudnego okna, jest noc i pusto za oknem.

A tutaj rezydował sławny pianista, mistrz
oddawał emocje włosami i gestykulacją.
Właściwie niewiele o nim wiadomo,
legenda poprzedza jego martwy fortepian
wystawiony w recepcji na hańbę widoku.

I kiedy mówisz, że czuć tu ambasadora,
to mogę tylko zasnąć nagle na półce.
Twarde łóżce wzmacnia przymioty ducha,
bo ciało drży w częstotliwości tęsknoty
za jakąś stacją, dość mam podróży.

Tutaj stał król, bo król nie mieszka,
raczej przebywa, jego domem jest kraj,
zwany królestwem, oby trwało na wieki.
Losy króla pogmatwane jak droga do domu,
a zamek z banderą zamyka drogę przedmieściu.

Zmieniam nośnik z nadzieją, że nowy
będzie szybszy i dokładniejszy, czy jest,
dowiemy się o świcie. O ile będzie świt
gdy porzucimy transfery, nośniki i pamięć,
oczywiście umownie, jakżeby inaczej.



Imię Nazwisko Jakub Żuraw

tytuł skargi lub wniosku

NIEZNOŚNA CZESKOŚĆ BYTU

Gdy podejmujesz robotę w dzielnicy cierpiącej na syndrom „Bałkańskich Emigrantów”, musisz liczyć się z paroma rzeczami. Możesz dostać w pysk. To raz. Możesz też zadrzeć z Albańczykami. To dwa i to takie dwa, po którym nie masz szans na żadne trzy, cztery ani sto swojego życia. Licznik stanie. Klepsydra upadnie i roztrzaska się o brudne kafelki w brudnym kiblu. W jednym momencie będziesz żył, a w drugim umrzesz zadżgany bądź rozstrzelany, wychylając zad z norki w szlachetnym celu wyrzucenia śmieci do kubła w zacienionej części byle ślepej uliczki. Cholera, ci chłopcy nie potrzebowaliby nawet cienia. Ani uliczki. Mógłbyś poskładać się niczym najbardziej teleskopowy akordeon cygański na świecie, tuż naprzeciwko komisariatu policji na sześćdziesiątej czwartej, a nikt nie kiwnąłby nawet kaburą.

Fred.

Nazywał się niby Fred. To jedyna jankeska rzecz, jaką miał w sobie szef pubu „Flat Tire”, gdzie udało mi się zaczepić i skąd poczęstowano mnie pierwszą w Nowym Jorku wypłatą. Poza tym facet pachniał, gadał i pierdział jak typowy albaniec, jeden z tych, którzy myślą o obywatelstwie jak o kwestii zmiany nazwiska, imienia czy flanelowej koszuli. Mylą je z kartą biblioteczną. Facet już pierwszego dnia po sformowaniu granicy zakupił amerykańską flagę, nauczył się hymnu w wersji niezwykle ubarwionej problemami językowymi i osiadł w klasycznej przyczepie campingowej, co, jak się wydaje, przydało mu znamion charakterystycznych dla twardziela z południa, który pół życia spędził na kąpielach w Missisipi.

Ale prawdę mówiąc to był taki, jak my wszyscy. Zawszony uchodźca. Swoją swego nie zmyli. Krochmal pewnej zaciętości, wywodzącej się z minionej ery pełnej walk i starań o lepsze jutro, lepsze pieczywo w sklepie czy też lepszą chatę, ciągle zionął z jego starannie wyprasowanych T-shirtów.

Cóż. Pierwszy tydzień pracy na obczyźnie pokonałem jednak bez szwanku. Niewiele Albańczyków, zero problemów. Jak na archetypowego, zbłazowanego nudziarza przystało, szykowałem się na swój pierwszy, amerykański weekend. Barbecue i inne pierdoły.

„Ale, Ale!”, zaprotestowałaby moja macocha, grożącym palcem przebijając złowroźnie powietrze. „To jeszcze nie koniec!”. Bo czego może spodziewać się Czech, taki, powiedzmy, jak ja, który ze szczęśliwie upchanymi za pazuchą dokumentami



legalizującymi pobyt w USA, wybiega po wielce wyczekiwanym fajrancie na ulicę? Promieni słońca drapiących nieogoloną, stęsknioną za alkoholem twarz? Taksówek barwiących wodą z kafeł dopiero co wyprany prochowiec? Fali błota katującego buty, które nie nawiązały żadnych interakcji z pucybutem od czasu datowanego na „nigdy”? Gradu, kurna, knedli?

Blisko.

Czech widzi najpierw kławkę skierowaną prosto w swą szeroką, rozedrganą szczękę. Rozedrganą najpierw w szczerym uśmiechu, a następnie w jeszcze szczerszym zakłopotaniu, będącym wyrazem ostatecznego zrozumienia nieuchronności nadciągającego fatum. Parszywe, parszywe to tchnienie losu. Oto bowiem sam absolut zionął mi w gębę wonią przejrzałego czosnku, zmieszanego z jeszcze poważniej przejrzałą cebulą. Wpadłem w stan, który poprzedza oddanie moczu przez ujęcie w nogawce. Wtedy to właśnie wszystkie zęby zespalają się w tańcu nazywanym „kan-kanem trwogi”, a brzuch starannie uciska opaska sklecona ze złych przeczuć.

Czarnoskóry koleżka celował we mnie spluwą wykreconą pod wymyślnym kątem i domagał się czegoś głośno, natarczywie, jakby nie dostrzegając, że ma przed sobą bezrozumnego, acz pocziwego neandertalczyka z Europy-jeszcze-Centralnej.

Ja i mój dyplomatycznie usposobiony czeski nie mogliśmy za wiele zaradzić, tym bardziej, że mowę i tak odebrał mi wylot lufy, jakby podpowiadając, iż czas na tłumaczenie albo się skończył, albo, co bardziej prawdopodobne, nigdy nie zaczął. Mój problem, o czym nie wiedział ten młody, acz nieco agresywny businessman, należał do problemów gatunkowo najcięższych. Było to przewinienie dla świataka przestępczego haniebne, niedopuszczalne, wręcz żenujące. Słowo „splukany” pasowało do mnie wtedy bardziej niż do kogokolwiek na planecie. Nie mam pojęcia, co by się działo, gdyby nie międzynarodowy system mimiczny, który opanowałem w stopniu dostatecznym: przejechanie palcem po szyi, wyciągnięcie cesarowego kciuka lub ostatnie, pokiwanie głową na znak protestu i potarcie palcami o siebie. Znaki Morse’a dla ubogich idiotów, czyli dla mnie, knypka tłumaczącego, że nie ma nabitej kabzy, że ona nie wystrzeli niezależnie od natężenia gróźb, że mimo poderżnięcia mi gardła nie stanę się nagle kolorową piniatą tryskającą amerykańskimi bożkami.

Zielonego mleka nie będzie, bracie. Nie z tej krowy, bracie.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia, którym po mych nędznych, niemych pertraktacjach obdarował mnie tenże dumny, niepokojąco hebanowy złodziej. Była to kwintesen-



cja pogardy, wiązka zdziwienia i absolutnego niedowierzania, gotowa wypalić mi nie tylko oczy, ale i serce, tak silne posiadała bowiem promienie.

Tak więc gość w karykaturalnie dużym kapturze zobaczył naprzeciwko człowieka gorszego od siebie. Zastanawiał się z pewnością, jakim tępakiem i osłem trzeba być, żeby nikczemnie się w życiu ustawić od niego, desperata mierzącego w biały dzień bronią przeznaczoną chyba do odstrzału samców hipopotamów. I rozumując zapewne zgodnie z tym tokiem, odniósł się całym „ja” do najdokładniej ukrytych pokładów swego człowieczeństwa, nabierając zeń haust pleśniejącego poczuciem wyższości powietrza, w ostateczności przedłużając mi, jednostce oczywiście pechowej, do cna zepsutej żalością, bilet na egzystencję.

Odszedł sobie ot tak, po prostu. Nawet nie warknął. Nie odwrócił się. Szkoda mu było. Szkoda czasu i... zakurzonego brakiem perspektyw Czecha.

A ja, przestraszony, jakby wzeniłem się podeszwami w środek opuszczonej, brooklyńskiej ulicy. Przestraszony, a potem wkurzony. Mógłbym stopniować poziomy gniewu jeszcze bardziej, poszerzając paletę irytacji aż do granic słowiańskojęzycznej wszechświata, lecz sobie oszczędzę.

Dosyć. Wystarczy.

Po tym, jak pot już zupełnie wylizał mi pachy, a słońce wydarło się, że, cytuję: „Już jest dzień, głupcze, nie stój tak, jak ćwok, nieporadny tuman!”, zdecydowałem się natychmiast coś w życiu zmienić. Wiem, że nierozsądnie to brzmi, a już na pewno mało efektownie, gdy ktoś napiera na zwrotnicę losu zaraz po tym, kiedy ktoś inny plunie mu w twarz. No ale cóż, chyba nie miałem wyjścia. Każdy dostaje taki otrzeźwiający prysznic, na jaki zasłużył.

Pogodziłem się z tym.

Tak spłynęła ze mnie ostatnia kropla śliny wytłoczona z ust Boga-Kpiarza. Nastął właśnie słynny, przełomowy moment mego czeskiego bytu.

Postanowiłem, że za niezmiernie długi okres pełen finansowych rozsad, być może podpartych lub osłabionych jakąś drobną, hazardową przygodą, zakupię sobie solidnego gnata. Najlepiej jakiś model z filmów z Eastwoodem.

Brooklyn zapachniał przygodą.



Imię Nazwisko Miron Kadziela

tytuł skargi lub wniosku

POCZWARKA

Przetacza się robak z łóżka na ziemię. Zwija się i roztacza, oskórek ociera się o poszwy, rozwijają się czułki. Czerw wypęłza w mroku, linieje, głowa mu pęka, toczy się i wije. Wyrzuğuje wczoraj do ścieków, panuje mrok, zamroczenie, zewnętrzne i wewnętrzne. Gąsienica wieri się w bólu, naciera, napiera na świat próbując rozkleić segmenty tułowia zasklepione przez noc. Poszukuje pożywki przebieając odnogami po wykładzinie, poszczególne metamery tułowia kołyszają się na boki, odwłok szura z tyłu. W nowy dzień próbuje się przepoczwaryć i powstać, ale powstrzymuje go śmierć wczorajsza, agonia codzienna, pogoń za przeobrażeniem nieustanna i sromotna. Rozwiera oko jedno i drugie, oczka proste wypełniają się zawieszeniem porannym, powodują ból z tyłu głowy. Człki insekta zaczynają pracować, wypełniają prymitywny mózdzek stanem środowiska zewnętrznego, ale za bardzo stymulują, znowu rozwiera się aparat gębowy i wypróżnia wole robaczce. Kładzie się z powrotem zwijając się na łóżku.

* * *

Budzę się i rozsadza mnie za oczami, blant za dużo. Znaczy się, nie tyle blant, co wódka spowodowała ten agonalny stan poranny, ale to on mnie ostatecznie spowiewierał, dokończył robotę. To on mnie oszołomił, doprowadził do takiego stanu, że muszę teraz wymiotować i położyć się na ziemi. Muszę też coś zjeść, skręca mi brzuch z głodu, ale również mnie mdli, trzeba zaryzykować. Kończę ponownie w toalecie, wykręcając żołądek jak mokrą szmatę. Sobotni poranek i pociąg mam za półtorej godziny, więc odsłaniam rolety i zaczynam doprowadzać się do porządku. Jest to przede wszystkim kwestia spakowania walizki i umycia się, choćby w stopniu aplikacji antyperspirantu, ewentualnie obmycia mordy i spojrzenia sobie w oczy w lustrze. Walizkę mam damską, przynajmniej tak mi się wydaje. Nie mam na myśli tego, że jest różowa albo ma jakieś inne archetypowe znamiona kobiecości. Mam na myśli to, że jest pokryta matowymi ćwiekami i ma złotą plaketkę na swojej poza tym czarnej fasadzie. Stąd bierze się moje skojarzenie z elegancką kobietą w średnim wieku. Moja walizka jest najpewniej po prostu szykowna, a ja mam kompleksy.

Generalnie kwestia spakowania się jest dość prosta — przede wszystkim moje przybory elektroniczne, niezbędne w dzisiejszych czasach, do tego trochę ubrań, co by nie zatęchnąć. No i również kosmetyki, w domyśle szczoteczka, pasta do włosów i wcześniej wspomniany antyperspirant. Nic do golenia nawet nie biorę, zobaczy-



my, jak mój zarost będzie wyglądał po kilku dniach zapuszczania; broda mi nie rośnie tak jak bym chciał, może już coś się ruszyło w tej kwestii. Natomiast jeśli chodzi o sprawę kaca, to znam pewien sposób, który rozwiązuje również poniekąd mój problem porannej higieny. Podchwyciłem pomysł z książki, chociaż nie pamiętam jakiej, generalnie należy wskoczyć pod prysznic, spryskać się ukropem, a następnie szybko przestawić kurek w drugą stronę i oblać się lodowatą wodą. Sposób wręcz piekielny w swojej brutalności, ale jakież skuteczny, natychmiast rozbudza i rozjaśnia umysł. Później biorę paracetamol i tabletkę magnezu, popijam mocną kawą. Kac będzie mnie jeszcze trochę męczył, ale po jakimś czasie ulegnie takiej artylerii.

Lubię dobrze wyglądać i się tego nie wstydzę. Starannie wybieram ubrania, lubię robić zakupy, chodzić po galeriach handlowych. Nie rozumiem prostaków w ich skleconych, wiejskich strojach i z włosami na jeża jak dziecko. Lubię wyglądać elegancko, prezentować jakąś wartość sobą. Są ludzie, którzy się wstydzą tak przyciągać wzrok, co dla mnie jest śmieszne. Jesteśmy wzrokowcami, tak nas stworzono, tak ewoluowaliśmy.

To jest też ten rodzaj człowieka, który nie chce wiele od życia. Większość ludzi to robactwo, zazwyczaj półgłówki, co tylko muszą się w kimś spuścić, żeby spełnić swoją życiową misję. Świat oferuje więcej. Nie zamierzam skończyć jako korporacjusz. Nie chcę być określany jako „personel”. Nie chcę zniknąć w morzu tej wszechobecnej szarańczy. Przesadam? Wyolbrzymiam? Nie, po prostu się jeszcze nie poddałem. Uważam, że jest mi przeznaczona wielkość, najlepiej w świecie sztuki, konkretniej literatury. Jeśli to nie wyjdzie, to zostaje mi jeszcze polityka, która poniekąd odrzuca mnie w swoim prostactwie i agresji.

Teraz muszę już wychodzić — moja stylowa, radziecka pobieda wskazuje ósmą czterdzieści pięć i mam już tylko godzinę do pociągu. Naciągam świeże rurki chinosa w kolorze kawy z mlekiem wyprasowane w kant, koszulkę w całości czarną z namaszczeniem naciągam na moje atletyczne ciało. Koszulę na dziś wybieram zieloną, zakładam na t-shirt i zapinam pod szyję wszystkie guziki. Zostaje jeszcze ważna kwestia stymulacji umysłowej, bez której wolę nie opuszczać mieszkania. W tym celu muszę udać się na balkon ze skręconym wcześniej jointem. Od razu zaznaczam, że zioła jest w nim naprawdę niewiele, tylko tyle, żeby rozweselić sobie dzień. Po kilku machach już czuję jak mi szumi w płacie czołowym, a uśmiech zastyga na twarzy. Moją wesołą minę muszę jednak ukryć, aby nie przyciągać uwagi. Dzwonię po taksówkę i jadę nią na dworzec. Trzeba najpierw przejechać przez małe kazimierzowskie uliczki, które rządzą się swoimi prawami, żeby móc wyjechać na Dietla. Pierwszy ciepły kwietniowy dzień, po tygodniach chłodu. W takie



dni ludzie nie wiedzą jak się ubrać, niektórzy przemykają w kurtkach, spoceni, muszą dopiero przestawić się mentalnie na zmianę temperatury. Inni w bluzach albo koszulach, ale z parasolem pod pachą. Kilka osób natomiast w krótkich spodenkach i koszulkach z krótkim rękawem; jakby czekali na lato, szykowali się i przygotowywali szafę na tę nagłą zmianę. Bezradne robaki, wystarczy kilka stopni ciepła różnicy i są całkiem skonfundowani. Jakby nie oglądali prognozy pogody, robili akurat wtedy przerwę w maratonie telewizji.

W końcu docieram na dworzec Kraków Główny i ciągnę swoją damską walizkę na peron. Tam właśnie zobaczyłem coś urzekającego. Młody Azjata, koło dwudziestki, przystojny i dobrze zbudowany, generalnie uosabiający swoim wyglądem współczesnego, młodego Azjatę, pcha wózek inwalidzki. Na nim starsza Azjatką, wypindrzona maksymalnie, pełen makijaż, okulary przeciwsłoneczne i różowa gigantyczna fryzura zaczesana w rulon do tyłu. Do tego elegancko odziana w pstrokatą sukienkę, z perłami na szyi i gustownymi sandałkami na chińskich stópkach. Wstrząsnęło mną i nie mogłem oderwać wzroku! Niesamowite połączenie części tak bardzo innych światów, składające się na tak pięknie logiczną całość. Z jednej strony dynastyczna damulka epatująca blichтром, ale wbrew swojej wytworności sprowadzona na wózek, z drugiej natomiast strony uderza kontrastem młodości i szarości jej (najpewniej) syn, ubrany tylko w skromną koszulkę i spodnie. Jak gdyby tego było mało, cała dwójka ściera się swoją orientalnością z krakowskim krajobrazem i polską, robaczą zwyczajnością. Ależ jakie to jest zarazem logiczne, a wręcz prawie, że zwykłe, ulotne! Przecież to po prostu turyści. Matka z synem na wycieczce w Europie. Natchnęło mnie to i uderzyło mocno, uruchomiło moje twórcze myślenie. Umieć zauważać pozornie proste sytuacje i potrafię odkryć ich niezwykłość. Uważam, że to mnie odróżnia od tych robaków dookoła, którzy najprościej w świecie nie mają na tyle kreatywnych mózgów.

Pociąg w końcu podjeżdża, więc wyjmuję wcześniej wydrukowany bilet kupiony przez internet. Od: Kraków Gł. do: Kędzierzyn-Koźle, pociąg: 7200, wagon: 11, 01 m. do siedzenia, 051 okno, wagon bez przedziałów, podróżny: Wojciech Japoński. Siadam więc tamże i zauważam siedzącego obok mnie pana w jeansowej kurtce i jeansowych jeansach. Nie starczy jeansu już w spodniach, konieczna jest do tego jeszcze ta kurtka? Dodatkowo cebula na nadgarstku z metalową bransoletą od Casio. Sam pan wygląda na poważnego człowieka, koło sześćdziesiątki — siwe, krótkie włosy i mądry wyraz twarzy, ale chyba nie chciał, żeby to kogoś zmyliło. Wizerunek dopełniały buty trekkingowe z firmy Quechua i duży pas zaciskający brzuszysko.

Szukam inspiracji. Ostatnio piszę krótkie opowiadania, ale gdy czytam je później znajduje w nich błędy. Okazuje się to dużo trudniejsze niż mi się wydawało, nawet



dla mnie. Ciężko mi spojrzeć z większej perspektywy na moją pracę, ciężko mi czasami zrozumieć, co miałem na myśli. Jednym słowem, przerasta mnie to, przynajmniej jak na razie. Umiem zauważać ciekawe zjawiska, ale może jestem jeszcze za młody, za mało jeszcze we mnie wartości. Potrzebuję tę większą wartość zdobyć, odkryć, co nią jest, muszę stanąć jeszcze wyżej niż reszta społeczeństwa i manewrować nimi w moich pracach wedle mego uznania. Muszę mieć lepsze spojrzenie na maluczkich, czuć się bardziej władczo, bosko niż dotychczas. Być może to kwestia czasu. Może też kwestia doświadczeń. Należy czekać na odpowiedni moment, wtedy będę wiedział, jak już to osiągnę.

Podróż generalnie minęła gładko, PKP staje na wysokości zadania, komfortowo i tanio. Trzy godzinki z Olgą Tokarczuk i jestem na miejscu. Lekki ziołowy rausz zdążył już dawno zejść, a otoczenie zaczyna mnie nudzić. Z dworca głównego mam piętnaście minut pieszo do domu na NDM, dzielnicy w centrum Kędzierzyna. Miasto jest podzielone na dwie główne części – Kędzierzyn i Koźle, oddalone od siebie dziesięcioma minutami jazdy autobusem miejskim. Całość ma powierzchnię większą od Barcelony, ale większość z tego stanowią lasy. Miejscowość słynie przede wszystkim z zakładów azotowych, produkujących nawozy i z szeregu innych trujących, ziejących molochów tworzących polską siłę przemysłu chemicznego. Lubię żartować, że Kędzierzyn-Koźle to zielone płuca Opolszczyzny, a szereg fabryk jest ich rakiem.

Gdy wszedłem do mieszkania, mama krzątała się w kuchni. Słyszając moje wejście, ruszyła szybkim krokiem w moją stronę.

— Synciu kochany! Dzień dobry! — wyściskała mnie solidnie. Żywiołowa, silna kobieta, pomyślałem, musiała nadrabiać za obu rodziców, gdy ojciec jeździł do pracy za granicę.

— Cześć, mamgo!

— Jak tam? Długo zostajesz? Kiedy wracasz do Krakowa?

— Chyba już jutro. Chyba, że opuszczę poniedziałkowy wykład. — odparłem z uśmiechem wytworzonym przez miłą, nostalgiczną atmosferę.

— No, jak chcesz — jej uśmiech mówił, że wolałaby, żebym został dłużej. — Obiad ci grzeje, kotlet z ziemniakami i buraczkami. Pewnie jesteś głodny.

Jedząc dowiedziałem się, że moja siostra Karolina wyszła jakąś godzinę temu z jej nowym chłopakiem Jurkiem. Dobry chłopak, uczynny i sympatyczny, tylko te dziury w uszach, „no, ale po co to!” krzyczała matka, „to zgnije później i zostaną dziury!”.



Matka jest dla mnie ostoją człowieczeństwa i żywiołowości, wzorem zachowania wśród otaczającej mnie szarańczy. Jej szczerość i konsekwencja ułatwiły mi zdanie matury i dostanie się na administrację. Ona sama ten kierunek skończyła i piastuje stanowisko w Grupie Azoty jako szefowa tamtejszego departamentu zarządzania. Od jakiegoś czasu przebąkuje o chęci wyprowadzenia się z bloków na przedmieścia Koźła, w bardziej prestiżowe miejsce, ale wydaje mi się, że za bardzo uwiązana jest NDM-u. Tak więc jak na razie otacza się co bardziej nowoczesnym sprzętem elektrycznym i robi nieustanne remonty.

- To magister w tym roku, nie? — wyrwała mnie z zamyślenia.
- Tak, zgadza się. Magister i do pracy, rodacy.
- O czym piszesz?
- O funkcji kontrolnej parlamentu, ale dopiero zaczynam. A o czym ty pisałaś?
- Ja nie robiłam magistra, ale licencjat robiłam z immunitetu posła. Ale to już chyba nieaktualne, zdążyli pozmienić od tego czasu, z tego co mi wiadomo.

Zjadłem grzecznie obiad i podziękowałem.

- Ja w ogóle będę zaraz wychodził. Wczoraj Maciek dzwonił, żebym do niego wpadł koło siedemnastej, do Koźła. Będę mógł wziąć twój samochód?

Zgodziła się, więc po chwili schodziłem na dół i wsiadałem do samochodu. Nowa Honda Civic, jeszcze pachnie świeżością zmieszaną z leśnym zapaszkiem zawieszki zapachowej. Szybko mijam brzydkie ulice i po kilku minutach już jestem w Koźlu. W przeciwieństwie do industrialnego Kędzierzyna, jest to miasto bardzo stare, zabytkowe, co więcej, założone prawdopodobnie przez samego Mieszka I. Dla mnie najdziwniejszą rzeczą w Koźlu jest to, że gdy inne miasta swoje dzielnice dla mniejszości etnicznych mają na powiedzmy obrzeżach, to tutaj dzielnica cygańska obejmuje rynek i stare miasto. Zgadza się, najbardziej robacze miejsce znajduje się w centrum, co jest policzkiem wymierzonym w mą godność. Podjeżdżam na Piastowską, czyli kozielskie Pola Elizejskie. Parkuję przy tutejszych kamienicach, wysiadam i zapalam Camela żółtego w oczekiwaniu na Maćka. Mija mnie głośna, cygańska rodzina i pani z psem. Po chwili kolega wychodzi z klatki z uśmiechem na twarzy.

- Wojti! Chodź na górę, wszyscy już są! — wykrzyczał szczęśliwy. — Pati też jest — dorzucił i puścił oczko.

Wchodząc na górę, dodał jeszcze, że jego rodziców nie ma, bo pojechali do Wisły na drobne wczasy. Maciej Klityński to mój najlepszy przyjaciel, studiuje ekonomię



w Nysie, przez co wyśmiałem go na początku. Nie z powodu kierunku, ale z powodu miasta, które wybrał. Nysa jest kilka klas niżej niż Kraków, przez co namawiałem go do zmiany zdania, ale systematycznie odmawiał. Dużo stracił wtedy w moich oczach, ponieważ stał się kolejną bezsensowną studencką masą niższej klasy. Co prawda jest prymusem i jeździ na stypendiach rektorskich, ale przez to tym bardziej nie rozumiem jego decyzji. Czy to strach przed byciem daleko od domu?

Weszliśmy do przedpokoju, gdzie ściągnąłem buty. Do moich uszu dobiegł dość głośny gwar z sąsiedniego pokoju. Rytuał przywitań, niezmienny od lat – cześć, siemka, schudłeś, Piotrek, miło Cię widzieć, ha, ha. Byli wszyscy moi dawni znajomi, niewidziani od dawna, a niektórzy niedawno, ale pokrótce, przy okazji, na przysłowiowym papierosie. Usiadłem koło Piotrka, kolegi z klasy z liceum, zawsze wydawał mi się on najbardziej ogarnięty z nich wszystkich, ale absolutnie nie dało się z nim rozmawiać. Nie chodzi nawet o jego delikatne jąkanie, tylko jego problemy w wysłowieniu się, znalezieniu odpowiedniego zdania, czy poszczególnego słowa do skończenia swojej myśli. Poza tym był prawie całkiem małowówny, lubił rozmawiać tylko na konkretne tematy, które go interesowały. Tak więc opowiadał mi właśnie o nowych podbojach literackich - czymś, o czym oboje możemy zamienić zdanie.

— No... Ge-generalnie zabrałem się za, powiedzmy, opowiadania. Czy bardziej powiedzmy etiuuudy... Gombrowicza! Wydali to teraz jako „Bakakaj”, może sły-sły-szałeś. Zebrali jego, po prostu, opowiadania różne, te pierwsze, w sensie jak był młody i jakieś późniejsze. Wzięli też jakieś z „Ferdydurke” dwa krótkie. No i generalnie bardzo dobre, znaczy dość dobre, takie w porządku... Widać w tym takie jego spojrzenie oryginalne na świat, wiesz, to takie sła-sławne opisywanie, co nie? Ale to jeszcze nie było to. W sensie widać, że dużo pracy było przed nim i to nie było jeszcze takie dobre. Za to kilka było świe-świetych — Piotrek skończył swój wywód, miał na myśli, że czytał wczesnego Gombrowicza i nawet mu się podobał. — Sześć na dziesięć! — podsumował.

Widziałem, że Pati przygląda mi się z drugiego końca pokoju z wesołym uśmiechem na swojej pięknej buźce, koło tej buźki paluszek kręcący czarne loczki spływające na jej rzeźbione, mleczne kości jarzmowe, kończące swoją drogę w czerwonych, mięsistych, lekko uchylonych wargach. Koszulka z Dragon Balla opina się na jej kształtnych piersiach, na tyle, że nie zakrywa całego brzucha i widać jej pępek. Rozmawia z Adasiem, co chwilę poprawiającym włosy i gładzącym się po imponującej brodzie.



W tle leci Taco Hemingway i Quebonafide, a ja walę pierwszego szota i zapijam piwem. Chcę się dość szybko sponiewierać, jeśli mam znaleźć wspólny język z robotnikami.

Drugi, trzeci, czwarty kielich wiśniówki, wdaję się w ożywioną, wykrzyczaną dyskusję o aktualnej sytuacji politycznej w Polsce. Leci Monika Brodka i Hey.

Palę gibona na balkonie, śmieję się Adasiowi w twarz, po chwili zapominam czemu, a później, że się śmieję. Chłód powietrza z dworu owiewa moją skórę, wieża kościelna wybija dwudziestą, czuję się jak alpinista, wspinający się na szczyty, w głowie dudni mi motyw z Indiany Jonesa, Maciek opowiada coś śmiesznego, wchodzimy do środka, czuję doskwierające ciepło pomieszczenia, czuję się znów jak mieszczanin, mieszkaniec mieszkalny.

Siadam, czuję pulsujące, rozgrzane mięśnie nóg, nóg, nóg, stóp, swoje odbicie w szybie meblościanki, uśmiechnięte, super fryzura, jestem przystojny, wdaję się w rozmowę z Adasiem o filmach, rozglądam się po pomieszczeniu, patrzę znowu na Adasia, patrzę na siebie, nie słucham Adasia, piję wódkę, z nim, piję piwo.

Koło mnie siedzi Pati, gdzie Adaś, na balkonie, śmieszy mnie moje nieogarnięcie i zamyślenie, Pati patrzy pytająco, ona nie paliła, nie lubi, ale rozumie, więc się uśmiecha, rozmawiam z nią pogodnie, niezobowiązująco, trochę kokietyrnie, piję piwo, piję z nią wódkę, patrzę głęboko w oczy, serce mi wali, tak głęboko w oczy, tak intymnie, to powinno być zabronione, pieprzyk pod lewym okiem, dawne uczucie.

Piję piwo, wali MGMT z głośników, moje ulubione, wali, siecze mi w głowie, nie umiem rozmawiać nagle, tak siecze, tylko uśmiecham się głupio, Pati opowiada o wycieczce do Budapesztu i Dragon Ball Super, bardzo ciekawe, ale nie umiem odpowiedzieć, piję piwo dalej, żeby ogarniać, zniwelować odurzenie blantowe, teraz niepożądane.

Pati prowadzi za rękę, wychodzimy z pokoju, Maciek macha i coś krzyczy, jaki uśmiechnięty, ja się uśmiecham tępym wzrokiem, wchodzę z Pati do sypialni rodziców Maćka, zamyka drzwi na klucz, kładziemy się na łóżku, żałuję, że dopiero co paliłem, całujemy się namiętnie, tak namiętnie, tak, leży na mnie wysoka, jej wysokość, światło zgaszone, zbliża się zmierzch, półmrok, łapię ją za tyłek.

Tak, Pati, moja, stara, dobra, Pati, Pati, tak, mam w portfelu, zawsze mam przy sobie, moja seksowna Pati, jej piersi przyciskają się do mnie, jej mokrość już całkiem odkryta na moim brzuchu ociera się.



Biorę ją od tyłu, tak lubiła, łapię za czarne, długie loczki, trzęsę się, skurcze promieniające po całym ciele, gwar, autobus za oknem przejeżdża, smród kondoma nagle czuję, nie przestaję czuć, skupiam się na widoku przed sobą i na zadaniu, teraz tak trudnym.

Mam nie kończyć w niej, więc wyciągam, ściągam prezerwatywę, strzelam jej na piersi, ona się śmieje, moja biała buzia wyrzeźbiona śmieje się, czerwone usta ruszają się, ja nie słyszę, czy mówi, kładę się, ona się wyciera i kładzie się obok.

— Pamiętasz, jak chodziliśmy po parku i był tam ten gość, co sprzedawał balony przy placu zabaw, jakby dla turystów, a ty kupiłeś je wszystkie dla mnie? Albo jak byliśmy u ciebie i popielniczka spadła z balkonu z trzeciego piętra i roztrzaskała się o asfalt? Musiałeś zejść z miotłą na dół i to posprzątać. A jak byliśmy na rynku w Koźlu i grał tam ten cygan i sprzedawał swoje płyty, a ty zacząłeś tańczyć i wszyscy się patrzyli na ciebie, ha, ha, pamiętasz to?

— Tak — odpowiadam.

— Byliśmy tacy młodzi wtedy, nie? Znaczą dalej jesteśmy, ale jest inaczej teraz. Patrzyłeś ostatnio na stare zdjęcia, jak wtedy wyglądaliśmy? Całkiem inaczej, całkiem inny świat to był. Nawet nie pamiętam jaka wtedy byłam, jak się czułam. Pamiętam, że było beztrosko.

— Teraz też jest dobrze, nie można, wiesz, żyć przeszłością. Za kilka lat będziesz wspominała ten moment, teraz.

— No okej, ale wydaje mi się, że wtedy było lepiej, jakby ciekawiej. Wiedziałam co mam robić, z punktu A do punktu B, rozumiesz? Teraz ta wolność mnie dezorientuje.

Zmierzch zapadł już całkowicie i zrobiło się ciemno. Leżymy na posłanej pościeli półnaczy, a ja zastanawiam się, jak długo już nas nie ma. Zamiast skupić się na Pati, ja myślę o meandrach konwenansu.

— Chyba powinniśmy już wracać — mówię.

— Poleżmy jeszcze chwilkę.

Leżymy przytuleni jeszcze kilka minut, następnie ubieramy się. Pati podchodzi i całuje mnie, bardzo namiętnie, jakby miał to być ostatni nasz pocałunek, co zresztą jest bardzo możliwe.

Wchodzimy do salonu, ale nikt nawet na nas nie zwraca uwagi — koledzy są tacy pijani i pochłonięci zabawą, do tego z głośników niemiłosiernie huczy The Knife.



Więc siadamy i wracamy do picia, jakby nic się nie stało. Włączam się do ożywionej dyskusji o najnowszych plotkach odnośnie naszych wspólnych znajomych, a w międzyczasie wypijam kilka haustów wiśniówki, żeby nadgonić towarzystwo.

Czuję, że zaczyna wracać przyjemne odurzenie alkoholowe, niwelujące zmulę tamtego blanta. Pati popija piwo i wesoło rozmawia z Maćkiem, zerka na mnie co kilka chwil i uśmiecha się czerwienią ust. Adaś skręca kolejnego gibona, a ja obserwuję jego ręce, jak pies patrzący na pochłaniany przez właściciela kawał mięsa. Po chwili lądujemy znowu na balkonie. Maciek zatacza się tak mocno, że musi kurczowo chwycić się balustrady, my tylko śmiejemy się z niego. Pati jest z nami, mówi, że też chce zapalić, uśmiecha się i patrzy na mnie, jak to mówi.

Już po pierwszych kilku zaciągnięciach zaczyna działać, uśmiech ponownie zastyga na buzi, wracamy do środka, Maciek rzyga! Piotrek siada na pufie, zakrywa bładą twarz dłońmi i siedzi tak, Adaś opowiada coś, coś śmiesznego, po chwili nie pamiętam co, ale pamiętam, że śmieszne, śmieję się, Pati z wyszczerzoną twarzą patrzy się w przestrzeń, ale zaśmiewa się co chwilę.

Widzę, że siedzę nienaturalnie, na skraju kanapy, jak się siedzi, nie wiem jak trzymać ręce, splatam je przed sobą, nie, to bez sensu, chwytam butelkę po piwie i skrobę etykietę, z zapamiętaniem, już się wkręciłem, jak dziwnie się marszczy ten papier, jak mocno jest przyklejony, paznokcie mnie bołą, ale nie mogę przestać, Adaś robi pompki, Pati zanosi się ze śmiechu i liczy, ile ich już jest.

Maciek wraca i chłonie piwo, żeby przepłukać gardło, siada koło mnie, kanapa ugięła się pod nim, tak że mnie przechyliła w jego stronę, czuję się jak wańka-wstańka, mówi mi, żebym się nie wygłupiał, ma poważną minę, chyba mu nie weszło dobrze, zamglony wzrok, czuję ucisk w brzuchu spowodowany tą nagłą zmianą atmosfery, nagle czuję, jak mocno dudni w tle jakiś rap i gromki śmiech Pati i Adasia.

Mówi mi, że musi mi coś pokazać, patrzy mi głęboko w oczy, takie patrzenie powinno być zakazane, on patrzy na moją reakcję, pytam o co chodzi, on wstaje, ja, wystraszony, naśladuję jego ruchy, zwracam na to uwagę, ale nie mogę już przestać robić dokładnie tego samego co on, wychodzimy z pokoju, Pati pyta, gdzie idziemy, Maciek mówi, że na stację benzynową po piwo, Pati też chce iść, ale Maciek mówi, że chcieliśmy pogadać na osobności, mówi to dosyć ostro, więc Pati patrzy na mnie pytająco, zafrasowaną miną, jakbym miał to wytłumaczyć, ale ja czuję się bardzo nieswojo, wręcz mnie mdli, tylko tępo na nią patrzę i dalej naśladuję Maćka, który wychodzi do przedpokoju i ubiera buty.



Wychodzimy i idziemy na stację, pomarańcz latarni zalewa otoczenie, czuję się jak w starym filmie, mdli mnie, Maciek nic nie mówi, tylko ma surową minę, dudnią nasze kroki, suszy mnie w gardle od palonego papierosa, czuję pracę poszczególnych mięśni moich nóg, skurcz, rozkurcz.

- On ją bije, rozumiesz? — usłyszałem Maćka.
- Kto?
- No ten jej chłopak!
- Czyj chłopak?
- No Pati chłopak, kurwa! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

Trochę się wystraszyłem, robi się poważnie, nie jestem teraz wystarczająco ogarnięty, żeby się tym zajmować.

- Pracuje tutaj na stacji.
- Kto?
- No ten gość! Artur! Powinniśmy coś z tym zrobić, rozumiesz? Pati ci w ogóle mówiła, że jest z kimś?
- Nie.
- Masz, wziąłem wódkę, łknij trochę dla odwagi — podaje mi butelkę czystej Żubrówki.
- Czemu dla odwagi?
- Musimy mu wpierdolić, rozumiesz?
- Kurwa... Ty mówisz poważnie?
- Czy ty mnie rozumiesz? Ostatnio tak ją pobił, że wylądowała z rozbitym oknem w szpitalu. To jest śmieć, trzeba z nim zrobić porządek.

Sytuacja wygląda beznadziejnie. Pewnie, że chcę jej pomóc, ale jak? Bijąc się z jakimś facetem? Nigdy się nie biłem! Dochodzimy do stacji, wypijam kilka haustów wódki, zaciągam się mocno papierosem jako substytutem zagrychy. Piję dalej, Maciek też nie odstępuje. Po kilku minutach jesteśmy już kompletnie pijani i zataczamy się przy ścianie budynku stacji. Maciek bezceremonialnie rzyga pod siebie. Wyglądamy jak robaki wijące się w śmieciach. Po chwili ogarniamy się i podchodzimy od przodu, bardzo powoli. Maciek mówi, że to on i wskazuje mi palcem kasjera. Oczywiście. Wielki dres z огоłą głową. Nie wiedziałem, że Pati z takimi chadza, musiała bardzo się zmienić przez te kilka lat, pewnie ma jakieś problemy. Ja oczywiście o niczym nie wiem, bo nawet do niej nie napiszę, żeby dowiedzieć się, co słychać. Czuję, jak nagle zaczyna mnie przepełniać gniew. I smutek. I taka beznadzieja, że mnie swędzą ręce.



Wchodzimy z Maćkiem do środka, drzwi automatycznie otwierają się przed nami, słysząc spokojną muzykę. Zataczam się na regał, kilka puszek z napojami spada z hukiem na ziemię, jedna z nich pęka i z hałasem rozpryskuje napój dookoła. Artur i obsługiwana przez niego kobieta patrzą na nas.

— Ej, ty, kurwa, chujuuu! — krzyczę przez cały sklep. Kobieta przykuca i chowa się za pobliskim regałem. Artur obchodzi spokojnie kontuar, robiąc groźną minę i napinając muskuły.

— Chłopaki, chyba się zgubiliście. Spadać, bo dzwonię na policję.

— Jesteśmy przyjaciółmi Pati! Coś ci świta? Zaraz pożałujesz, że ją tak traktujesz! — Maciek z trudem składa tą wykrzyczaną kwestię.

Biegnę na draba i przypominam sobie filmy ze scenami walki i te wszystkie zmyślne uniki i chwyt, które oni, aktorzy, z łatwością wykonywali. Wyprowadzam cios na jego twarz, ale on robi błyskawiczny unik, łapie moją rękę, pociąga za nią, a gdy jestem już blisko niego, całkiem odkryty, uderza mnie mocno kolaniem w brzuch i popycha na pobliski regał. Tenże przewraca się pod impetem mojego uderzenia, a ja ląduję na nim. Maciek wymierza cios szklaną butelką w jego głowę, on blokuje przedramieniem, rozlega się głuchy odgłos, Artur odskakuje, wydając z siebie krzyk bólu. Ja się powoli podnoszę, a w tym czasie Maciek rzuca butelką i doskakuje do przeciwnika. Tenże butelkę strąca w locie na bok, ale tym samym odsłania swoją głowę i tam ląduje silny maćkowy cios. Niestety, nie robi on na drabie dużego wrażenia, przyjmuje go na twarz zaledwie z grymasem.

Wstaję, widzę naprzeciw siebie, a po prawej stronie Artura, szybę witryny, on jest zajęty okładaniem Maćka, nie widzi mnie. Jestem od niego kilka metrów, za regałem, rozpoczynam bieg i nacieram na niego z całym impetem. Przelatujemy przez szybę, odłamki dookoła nas, świat zawirował, podmuch powietrza na twarzy, Artur grzmoci o asfalt. Widzę, że jest zamroczony, najwyraźniej uderzył głową o ziemię. Zaczynam go okładać raz za razem po głowie, niczym automat, niczym kiwon do pompowania ropy, w strachu przed niebezpieczeństwem; gdyby doszedł szybko do siebie, on robiłby to mnie. Kiedy mam już wrażenie, że nigdy nie przestanę łomotać, wtedy właśnie przestaję i patrzę na krwawe kłykie i krwawą masę pode mną. Maciek stoi obok z podbitym okiem i z wyrazem twarzy, jakby zobaczył śmierć. Ale to śmierć śmiecia, czyż nie? Ja widzę tylko rozgniecionego robaka. Robaka, którego ja rozgniotłem i słusznie. Nigdy nie czułem się tak władczo! Czyż to nie wielkie osiągnięcie jak na robaka — dać mi takie uczucie boskości?



* * *

Najpierw skrzydła poczęły rozwijać się, choć jeszcze krótkie i zmięte, pęka oskórek. Potem główka wyłania się z kokonu, oczy obracają się dookoła, czułki analizują. Majestatyczny tułów podciąga odwłok do góry, wyłania się cała postać i ulatuje do góry, powoli. Dwóch chłopaków pod owadem, jeden stoi, drugi leży, bez ruchu oboje. A owad ulatuje coraz to wyżej i wyżej. Ale czy to motyl, czy to ćma?



Imię Nazwisko Lucja Dudzińska

tytuł skargi lub wniosku

PO DRODZE. ZNIKANIE

Ruch na przejściu dla pieszych, ktoś się potyka,
ktoś biegnie, ktoś dźwiga na plecach zebra.

Urzędniczka patrzy tępym wzrokiem — nie musi
wiedzieć, rozumieć, ona musi wyrokować.

Zapisane — odhaczone. Przysłowiowe dwa światy
swoich praw i obowiązków. Jak lustro i jego dwie
strony (przytulasz się do tej matowej), udajesz —
wszystko jest ok. Zdanie przeciwko zdaniu,
a to, co po drodze, miażdży wielkie wahadło.

Nie jest ważne, kto wynalazł broń, tylko kto jej
używa, by zabić: *Tym razem pani się nie udało...*

Być ponad to, co niszczy od zewnątrz do środka.
W tych warunkach erozja to naturalny stan.



Imię Nazwisko Wiesław „Falko” Fatkowski

tytuł skargi lub wniosku ŚWIAT JESZCZE ISTNIEJE?

Ślepiec ustawił się w kolejce
wieczorem po nowy wzrok z nadzieją,
że zobaczy wschód słońca nad ranem.
Nie zaśnie.

Starzec stanął w kolejce do domu starości
sądząc, że jesień życia będzie złota,
że włosy srebrzą się babim latem, a nie pajęczyną.
Zabraknie.

Kurwa na rogu głównej ulicy mojego miasta
naiwnie piękna, rudowłosa i nieskazitelna
wywołuje wzwód i popłoch,
jak dziewczynka z zapalkami.

Gazet już dawno nie czytałem,
papier tak sztywny i szybko żółknie,
nie nadążam zmieniać szkielec.
Oślepiłem?

Nie jem tego, co pokazują
od rana do wieczora w telewizorze.
Tyję bo pożeram martwe zwierzęta.
Ale tabletki na porost włosów są super.

I środki na przeczyszczanie,
smakowe prezerwatywy,
proszek do prania białej bielizny
(biała bielizna — jak to czysto brzmi).

Szwedzka pasta do wybielania zębów,
francuska miłość,
ukraińskie pieszczoty,
hiszpańska mucha.



Mimo wszystko śpię regularnie.
Najgorzej mam rano, muszę wstać i ocenić
czy świat jeszcze istnieje.
Włosy mi rosną na całym ciele,
zęby wypadły, biegam boso po trawie,
zapisalem się do centrum odnowy biologicznej.

Uznali, że nie ma dla mnie ratunku.
Dla tak niepełnosprawnych poetów,
w takim byle jakim stanie,
dostępny jest tylko golf dla początkujących idiotów,
prosto do dołka,
jak celnie trafię — to mnie zakopią.



Imię Nazwisko Wiesław „Falko” Fatkowski

tytuł skargi lub wniosku WSTĘP DO ZIELARSTWA*

zeszłoroczny śnieg topnieje
w moich wspomnieniach
obchodzi mnie tyle
co jutrzejszy kac
kiedy tyle wina

zeszłoroczny śnieg gwałtownie
zmienia się w błoto
ja razem z nim
roztapiam się w hotelowym barze
tylko krople Inoziemcowa mogą pomóc
na egzystencjalny ból brzucha

nad cynowym szynkwasem
wiszą puste butelki
w których zamiast wina
kolorowe koraliki
nie wiedzieć czemu

po drugiej stronie za listkami mięty
bazylii szatwii lubczyku
barmanka blondynka
zmęczone oczy nic nie mówią
niczego nie widzą
wpatrzona w koraliki
uwięzione w butelkowym szkle

ostatnie kurwy poszły spać
zegar zapomniał o wskazówkach
nie wie czy może nadejść jutro
portier uparcie patrzy
w punkt nad moją głową
patrzę za jego wzrokiem
nie ma nic
stałem się przezroczysty



w moim hotelowym pokoju
czeka na mnie biała
zimna jak śnieg
topniejąca pościel

** Henryk Stanisław Różański: Wstęp do zielarstwa i fitoterapii oraz podstawy profilaktyki chorób metodami naturalnymi w ujęciu historycznym i współczesnym*

Krople Inoziemcowa — skład: nalewka z rzewienia, nalewka z kozłka lekarskiego, nalewka opiumowa, ekstrakt strychninowy, kwas walerenowy, olejek miętowy, spirytus



SKARGA – WNIOSEK Nr 60

Imię Nazwisko Dominik Piotr Żybertowicz

tytuł skargi lub wniosku PRESTIŻ

Jestem poetą.
Już od siedmiu lat
na tej budowie stróżuję.



SKARGA – WNIOSEK Nr 61

Imię Nazwisko Antoni Jankiewicz

tytuł skargi lub wniosku

B R A K T Y T U Ł U

Znów obsypano nas brudnymi obietnicami
Kłaniamy się fałszywym nadziejom
Szukamy sensu tam, gdzie nigdy go nie będzie
W imię prawd, których brakuje od wieków

Pogrążamy się w chaotycznym nieładzie
W nienawiści, niezdolni nawet do myślenia
Pozostawieni tam, gdzie bracia nasi upadli
Na rozstajach kochającego nas świata

Tylko aby zapadło czarne wieko
Aby oświecił nas błądy martwy kaganek
Aby skorzystać z ostatniego prawa

Tracimy tą niehumanitarną rzeczywistość
Pozostawiamy za sobą całą nieprzyzwoitość
Skaczemy w przepaść



SKARGA – WNIOSEK Nr 62

Imię Nazwisko Konrad Gęsty z Kluczborka

tytuł skargi lub wniosku

ULTIMATUM

Towarzyszyła mi całą noc, a teraz co? Pakiet kaset z golizną i ślinieniem się różnych tkanek? Stanowczo sobie nie życzę takich praktyk i żądam powrotu do tego, co było dobre, kojące i ludzkie. Udawanie, że się nic nie stało, jest jednym wielkim skandalem. Może Szanowna Dyrekcja Hotelu już nie pamięta, więc przypomnę. Za niewielką dopłatą miałem zagwarantowaną wizytę miłej osoby, która była lekiem na całe zło, a głównie bezsenność. Rozmawialiśmy do rana jak starzy przyjaciele i zawsze opuszczałem Wasz Hotel zadowolony i spełniony. Na co dzień kontakty z ludźmi mam dość ograniczone. Szczególnie z płcią przeciwną. Jeżeli już do czegoś dochodzi, peszy mnie to niesamowicie. W Waszym Hotelu zawsze można było jakoś odreagować. A teraz co? Jeżeli w/w usługa nie wróci do łask, czyli na listę, to zmuszony będę do rezygnacji z tej sieci. Sami Państwo zrozumcie, że obecnie zaproponowane erzace (kasety plus gumowa lala) daleko odbiegają od istoty rzeczy, jaką jest naturalny kontakt międzyludzki. Za kogo Szanowna Dyrekcja raczy mnie poczytywać? Za jakiegoś onanistę? Stanowczo sobie wypraszam i formułuję to, póki gorące, poniższe (chyba jednak powyższe) ultimatum.



SKARGA – WNIOSEK Nr 63

Imię Nazwisko Damian Dawid Nowak

tytuł skargi lub wniosku NIE LUBIĘ

leniwych Portugalczyków
snobistycznych Francuzów
siestujących Hiszpanów
spóźnialskich Islandczyków
pijanych Irlandczyków
nadętych Brytyjczyków
nudnych Szwedów
przybitych Finów
spalonych Holendrów
poważnych Niemców
zdystansowanych Szwajcarów
ubogich Greków
kradnących Rumunów

narzekających Polaków



SKARGA – WNIOSEK Nr 64

Imię Nazwisko _____

tytuł skargi lub wniosku _____



SKARGA – WNIOSEK Nr 65

Imię Nazwisko _____

tytuł skargi lub wniosku _____



SKARGA – WNIOSEK Nr 66

Imię Nazwisko _____

tytuł skargi lub wniosku _____



Redaktor Naczelny
Bruno Lef Lewin

Redaktor
Karol Pęcherz

Korekta
Łukasz Plata

Skład & Design
gyyethy, Karolina Maria Wiśniewska

gyyethy

ISSN 1896-2637

Wydawca
Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji
im. Tymoteusza Karpowicza



Adres do korespondencji:
Księgarnia Tajne Komplety,
50-107 Wrocław, Przejście Garncarskie 2
redakcja@magazyn-cegla.net

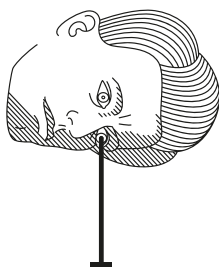
TAJNE
KOMPLETY

Magazyn jest dostępny w Księgarni Partnerskiej DSW
Tajne Komplety / www.tajnekomplety.pl

Dofinansowano ze środków
Wrocławskiego Programu Wydawniczego

Dofinansowano ze środków gminy Wrocław

Wrocław	the meeting place
---------	-------------------



Nr 35 / 2016

by Bruno Lebl Lewin



